

W numerze: KRZYSZTOF POGORZELEC *Twarzą w twarz* • EDMUND ROSNER *Literatura austriacka*  
• ANTONI KASPROWICZ *Niezwyczajne spotkanie* • KAROL BADZIAK *Zima zbliża się do Spicimierza*  
• Recenzje • Felietony • Zawszqd o wszystkim • Nowela kryminalna

# odgłosy



36 (720)

5. IX. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



HENRYK PAWLAK

## KULTURA i KOMPUTERY

Od dwudziestu kilku lat zajmujemy się w naszym kraju planowym upowszechnianiem kultury. I od dwudziestu kilku lat nie jesteśmy zadowoleni z tego co robimy, choć — oczywiście — sukcesy są bezsporne, a powszechność korzystania z dóbr kulturalnych jest jednym z najcenniejszych osiągnięć naszego kraju. U podstaw tego upartego dążenia do podnoszenia poziomu kulturalnego społeczeństwa leży przeświadczenie, że jego ogólny poziom umysłowy i kulturalny decyduje o twórczych postawach ludzi, stosunku każdego obywatela do pracy, do obowiązków społecznych, wpływa na umiejętność współżycia w środowisku, decyduje o jego światopoglądzie.

Dlatego więc, mimo wieloletnich doświadczeń, sposoby upowszechniania kultury budzą wątpliwości, a rezultaty tej działalności są ciągle skromne w stosunku do przeznaczonych na ten cel środków? Wydaje się, że nieustannie mieliśmy do czynienia z dysproporcją zachodzącą między dynamiką rozwoju gospodarczego, przemianami cywilizacyjnymi w naszym kraju, a ciągle opóźniającymi się w rozwoju metodami upowszechniania kultury. Brak zestrojenia taktyki gospodarczej z taktyką w dziedzinie edukacji społecznej i kulturalnej społeczeństwa rodził błędy i potknięcia, składające się na rejestr niepowodzeń w interesującej nas dziedzinie.

Tych kilka stwierdzeń ogólnych pomoże nam we właściwych proporcjach przyrządzić się konkretnym niedomaganiom w dziedzinie upowszechniania kultury w woj. łódzkim.

Pozwoli to nam przede wszystkim wyjść

Dalszy ciąg na str. 3

ZOFIA TARNOWSKA

## KUFEL BRUDNEJ PIANY

KOLEJKA liczy 40 osób. Sami mężczyźni. Staję i ja w samym ordynau. Trochę mi nieswojo. Jedyna kobieta. Obejrżeli mnie sobie zdziwieni. Oczekiwanie na napelnienie kufli trwa długo. Patrzę na nogi posuwające się małymi kroczkami do przodu. Brudne, powykrzywane, podarte buty, pomięte spodnie, zaplamione marynarki — zmięte i ponadrywane. Takież koszule. Na obnażonych szyjach pot cieknie brudnymi strumykami.

— Panie starszy — weź no pan jeszcze dwa duże — podchodzi z boku do mężczyzny stojącego przede mną — „brat lata”. Odlicza trzęsącą się ręką drobne pieniądze. Część bilonu upada mu na ziemię. Kuca i zbiera.

— Cholera, stoisz i stoisz, a pić się chce...

— Zdrowo to tak na czczo kufel piwa? — zagaduje mężczyznę stojącego przede mną.

— A pani zdrowo?...

— Ja nie po piwo, tylko po wodę sodową...

— Pani, po wodę, to bez kolej-

ki — idź pani prosto do lady — radzą.

Idę. Dostaję bez kolejki. Nie mogę pić, bo ogarnia mnie obrzydzenie. Dostałam kufel i nieopatrznie wlałam do niego ową wodę.

— Nie smakuje, co? — ledwo stojący obok mężczyzna kiwa się nad kuflem, podnosi napój do ust, oblewa się i ni stąd ni zowąd informuje mnie intymnie:

— Prosto z Izby idę, 1,500 złotych pociąg! Ale może się zdarzyć każdemu, trudności rodzinne mam, zaraz będę w porządku, piwo stawia na nogi, nie woda.

— Ty — klepie go po ramieniu podobny typ — masz no na jeszcze po jednym? Każdemu się może zdarzyć, proszę pani — mamrocze wykrzywiając twarz w pijackim grymasie.

Kolejka rośnie. Podchodzi czterech robotników z zespołu remontującego dworzec. Jest dopiero godzina 7 rano. Dwie budki z piwem przed Dworcem Fabrycznym pracują od świtu na pełnych obrotach. Jedna posługuje się ku-

flami — druga butelkami. Kilkadziesiąt beczek i stos skrzynek piętrzą się wokół na kształt obronnych wałów. Trzaskają kapsle, co niecierpliwi zrywają je zębami i leją zawartość butelek prosto w gardła. Jedna, druga, trzecia butelka...

Tu wszyscy się chyba znają. Podają sobie pieniądze, pokazują na palcach ile butelek, siadają na murku ogrodzenia peronowego. Liczę: 50 mężczyzn przy butelkowym kiosku. Jeden oddala się z butelkami w kierunku ławki. Podaje piwo dwóm kobietom. Jedna młoda, druga stara. Palą papierosy. Nabrzmięte twarze, czerwone oczy, brudne nogi w wykreconych kaptach.

Naprzeciwko, na ławce, siedzi pan Henio. Zagląda do kieszeni koszuł młodego człowieka, który pociągając piwo z butelki żywo coś opowiada. Drugi towarzysz pije piwo ze znudzoną miną. Pan Henio nie odejdzie. Coś z tej znajomości może wynikać korzystnego. Może się uda zaprowadzić podochoconych młodzień-

ców do meliny? Panie z ławki vis a vis pewnie myślą o tym samym...

7.20 przyjeżdża pociąg. Co za kapitalny widok! Co czwarty pasażer odsakuje z fali opuszczającej peron i przyłącza się do kolejki przed budkami z piwem. Jacy oni podobni w typach, w posturze, w odzieniu, w stylu, w abnegacji. Małe i duże piwo przed podjęciem pracy (wydajna będzie praca!). Mały lub większy klin na wczorajsze nadmiary.

Ten w „rowerowych” okularach ciągle jeszcze przy kiosku. Już druga godzina. Tak codziennie. Ten z brodą — zapoznany intelektualista, ten stary, lysy, wyniszczony alkoholem — stali bywalcy. Odchodzą, znowu wracają.

Wejdzmy na peron. Stoł tu wózek (pewnie „Warsu”) do rozwożenia napojów i kanapek. Pobłukiwany gruchot wypełniony

Dalszy ciąg na str. 5





Przewidywania nasze okazały się trafne. Zanim jeszcze poprzedni numer dotarł do rąk czytelników — w rokowaniach na temat Berlina zachodniego nastąpił pomyślny finał. 17-miesięczne negocjacje ambasadorów czterech wielkich mocarstw zakończyły się wspólnym komunikatem, stwierdzającym, że rokujące państwa doszły do porozumienia. Teraz jego treść (której nie podano jeszcze do publicznej wiadomości) mają zaakceptować rządy i — jak się przewiduje — 2 września nastąpi parafowanie. Równocześnie rozpoczęła się nowa faza rokowań NRD — NRF, mających oczywiście bezpośredni związek z porozumieniem czterech mocarstw.

Bez przesady i sięgania do wielkich słów — finał rozmów można określić mianem historycznego faktu, oznaczającego bowiem może zakończenie 25-letniej ery napięcia wokół miasta, leżącego przecież w samym sercu Europy, i będącego niejednokrotnie powodem kryzysu w stosunkach Wschód-Zachód. Dlatego też w komentarzach często spotkać można określenia: „koniec zimnowojennej konfrontacji”, „zachęcający krok do współpracy”, „droga do pokojowej Europy” itp. Jest w tych sformułowaniach zawarta nadzieja, że porozumienie berlińskie, od którego NRF uzależniała ratyfikowanie ubiegłorocznego układu ze Związkiem Radzieckim, a pośrednio i z Polską, będzie miało ważne polityczne następstwa, prowadzące przez ucielenie w życie wspomnianych układów, a następnie ogólnoeuropejską konferencję na temat bezpieczeństwa — do pokojowej współpracy krajów na naszym kontynencie.

Nadzieje te nie są płonne i — przy dobrej woli zainteresowanych — mogą być zrealizowane. Ale właśnie przy dobrej woli. Z doniesień agencyjnych wiemy, że rządowa koalicja w Bonn zaakceptowała treść porozumienia. A opozycja? Znalazła się ona w trudnej sytuacji, gdyż nie leży w jej interesie podważanie stanowiska trzech mocarstw zachodnich. Najprawdopodobniej będzie atakowała rokowania między dwoma państwami niemieckimi oraz nadal układy NRF z ZSRR i Polską.

O stanowisku części opozycji mówi artykuł monachijskiego tygodnika „Bayern Kurier”, który jest organem CSU. Oto obszerniejszy fragment tego komentarza:

„W Bonn uchodzi za prawdopodobne, iż jednocześnie z przedłożeniem wewnętrznemu, technicznemu porozumienia do czteromocarsowej regulacji berlińskiej, zostanie zaprezentowany, nie dający się w zasadzie już skorygować, projekt generalnego porozumienia z NRD. Trzonem tego projektu ma być zawołane uznanie NRD z punktu widzenia prawa międzynarodowego i podjęcie stosunków dyplomatycznych między Bonn a wschodnim Berlinem. Tego rodzaju porozumienie, które będzie przedstawione jako „skompletowanie”, postępujące w ślad za układem moskiewskim zakończyłoby „uwerwura wielkiej opery śpiewanej przez Webera, której treścią jest stopniowe odwracanie się NRF od Zachodu”. Jednocześnie „droga do nowych awantur w bońskiej polityce zagranicznej byłaby otwarta”.

Ta pozbawiona sensu opinia, celowo przecież uproszczona, ma spełnić określoną rolę polityczną. Zapowiada ona walkę opozycji przeciwko uznaniu NRD w świetle prawa międzynarodowego, a więc przeciwko faktycznemu odwróceniu. Wiele może być zatem przeszkód na pokojowej drodze Europy. Ale właśnie dzięki porozumieniu berlińskiemu łatwiej jej się będzie pokonywać.

Polska, która swą gotowość znormalizowania stosunków z NRF dobitnie wypowiedziała w podpisanym w grudniu ub. roku układzie, wita porozumienie berlińskie jako ważny krok w kierunku zrealizowania idei pokojowej i współpracującej Europy.

Berlińskie porozumienie, zajmujące w komentarzach czołowe miejsce, nie osłabiło publicystycznej roli na temat kryzysu walutowego świata zachodniego. Tym bardziej, że giełdy notują spadek wartości dolara (np. w NRF o 8 proc.), a ich napływ do niektórych banków stale wzrasta.

Nowe ożywienie wprowadziły obrady GATT, z przebiegu których jasno wynika, iż nie można rychło oczekiwać rozwiązania problemów finansowych i handlowych, narzuconych decyzjami Nixona. Specjalna komisja GATT ma rozważyć ich legalność i następstwa zwykłej cła o 10 proc. na artykuły importowane do Stanów Zjednoczonych. Swe sprawozdanie przedstawi 20 września. Tymczasem ze strony Waszyngtonu nie ma prób wyjścia naprzeciw w poszukiwaniu dróg rozwiązania problemu. Wróży to „wielką wojnę w handlu”.

Z innych wydarzeń zwrócimy uwagę Czytelników na prawicowy zamach stanu w Boliwii. Przywódca zamachu — płk. Hugo Banzer, dziś już prezydent Boliwii, program swój opiera na hasłach antykomunizmu. Podjął też brutalne prześladowanie lewicy.

O celu przewrotu tak powiedział nowy minister Spraw Zagranicznych — Gutierrez: cofnąć „kubanizację” kraju, odnowić bliskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi.

Z wypowiedzi tej łatwo się domyślić, dokąd prowadzą niki zamachu. Mówi się, że był on długi i starannie przygotowywany. Amerykańskie kółka imperialistyczne bowiem, mając w pamięci wysoki koszt bezpośredniej interwencji w Dominikanie, chciały zawrócić Boliwii z jej drogi poprzez interwencję pośrednią.

W. ŚLAWSKI

● Zawszqd o wszystkim ●

● Zawszqd o wszystkim ●

## Skrupulatny cudzoziemiec

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — BOSTON

Niezwykły bagaż zwrócił uwagę urzędników celnych portu lotniczego w Kairze: na wózku, popychanym przez tragarza, stały dwa bardzo pieczołowicie opakowane... sarkofagi. Wywóz z kraju zabytków starożytności wymaga, zgodnie z przepisami ZRA, specjalnego zezwolenia. Cudzoziemiec ów przedstawił takie dokumenty wywozowe, jak również zaświadczenie, stwierdzające, iż sarkofagi są kopią oryginalną. Spokojnie załadował swój kruchy bagaż do samolotu i opuścił Kair.

W kilka dni później stwierdzono, że zarówno „kopie”, jak i zaświadczenia były fałszywe, zaś sarkofagi jak najbardziej oryginalne! Innym razem egipcjacy celnicy zwrócili uwagę na pewnego cudzoziemca, częstego gościa w Kairze. Przyjeżdżając do ZRA szczegółowo wypełniał deklarację celną, w której wykazywał, iż wwozi do ZRA jeden dywan. Przy wyjeździe ze ZRA również skrupulatnie wypełniał rubryki, wykazując znów, że wywozi jeden dywan. Postanowiono bliżej przyjrzeć się obu dywanom i porównać je ze sobą. Co się okazało: wwożony dywan był taniutkim wyrobem fabrycznym, a wywożony — bezcennym, ręcznie tkanym dywanem z czasów dynastii Tattimidów i Mameluków.

Historia zorganizowanej grabieży starożytnych zabytków Egiptu sięga okresu wypraw krzyżowych. Dopiero w końcu ubiegłego stulecia zrobiono pierwszy krok na drodze zabezpieczenia bezcennych skarbow narodu egipskiego. Wprowadzono ustawę, wedle której cudzoziemcy nabywali prawa własności do połowy znalezisk, wykopanych przez

Nowa ustawa z 1912 roku, obowiązująca zresztą do dziś, zabrania wywożenia z kraju unikalnych znalezisk, których nie mają muzea egipskie. Jednakże przedsiębiorcy i „energiczni ludzie” umieli obejść i to zarządzenie. Jak szacują egipcjacy, tylko w amerykańskim muzeum sztuki pięknych Metropolitan znajduje się około sto tysięcy dzieł sztuki starożytnych mistrzów egipskich, zaś w państwowym muzeum sztuki — około osiemdziesięciu tysięcy.

Już od wielu lat zabiega Egipt o odzyskanie skarbow z grobowca cesarzowej Nefretete. Ich wartość można porównać tylko ze skarbami faraona Tutenchamona.

„Oczywiście” — mówi z uśmiechem Henry Riad, dyrektor Muzeum Kairskiego — pochlebia nam, że nasze skarby historyczne są tak strzeżone w zachodnich muzeach. Niemniej, skarby te należą do narodu egipskiego i powinny być przez nasz naród strzeżone”.

## W Berlinie Zachodnim

### brak rąk do pracy

„ELAN” — FRANKFURT n/MENEM

„Twoją szansą — Berlin Zachodni!”

Tak nęci się zachodnoniemieckich robotników i urzędników do podejmowania pracy w Zachodnim Berlinie.

Gospodarce „frontowego miasta”, w którym, mniej więcej, co czwarty mieszkaniec przekroczył niebawem 65 rok życia, jest potrzebna tzw. świeża krew. Młodzi obywatele NRF, zwerbowani do pracy, przyjeżdżają do Zachodniego Berlina, aby pomnażać zyski tutejszych przedsiębiorstw.

„Każda robotnicza rodzina przyjeżdżająca do Zachodniego Berlina, może liczyć na otrzymanie mieszkania w ciągu sześciu miesięcy” — głosi prospekt. W rzeczywistości termin otrzymania mieszkania przeciąga się w nieskończoność, a o bieciane locum okazuje się w końcu — i to w najlepszym wypadku — hotelem robotniczym.

Nawet szpringerowska „Bild Zeitung” musiała przyznać, iż wieloletnie rodziny „nie mogą mieć cał-

kowitej pewności, że otrzymają mieszkanie, a dla samotnych robotników, poniżej 30-ki, chyba w ogóle nie znajduje się nic odpowiedniego...”

Zdaniem jednego z robotników, werbunek siły roboczej, który w Republice Federalnej prowadzi firma zachodniobermiejska, można by porównać z rekrutacją żołnierzy w czasach feudalnych: średniowiecznego najemnika najpierw nęcono „tanim jadem i napitkiem, po czym kopniakami zaganiano do koszar. Z nami postępuje się zupełnie tak samo...”

Władze policyjne Zachodniego Berlina usiłują nadać sprawie całkiem inny aspekt, utrzymując, jakoby zachodnoniemieccy robotnicy, którzy tutaj przyjeżdżają są sami sobie winni. Oto co mówi na ten temat jeden z funkcjonariuszy policji: prawie wszyscy — to zdeklarowani kryminaliści i tylko dlatego nie mogą dłużej zagrześć miejsca”.

Natomiast „Bild Zeitung”

przyznaje, iż przyczyną ucieczki znacznej części przybyłych tu robotników są zbyt niskie zarobki. „Ci, spośród nas — mówią robotnicy — którzy opuszczają Berlin nie mają już żadnych iluzji. Zwyabiono nas tutaj, jak się

to później okazało, aby przedsiębiorcy nie nie stracili ze swych wysokich zarobków”. Inny młody robotnik ujął to tak: „przyjechalśmy tutaj, żeby zarobić, a wyjeżdżamy bez grosza przy duszy”.

## Niezwykła kontrabanda

„TEMPO” — MEDIOLAN

W gabinecie pułkownika Salvatore Ponteri, attache wojskowego ambasady włoskiej w USA, zadzwonił telefon:

— Czy zastałem signora Buttaro?  
— Nie.  
— A kiedy wróci?  
— Nigdy...

Sprawa dotyczy byłego podoficera armii włoskiej od dziesięciu lat zatrudnionego w ambasadzie, jednego z bliźszych współpracowników wspomnianego już attache wojskowego. Reporterzy usiłują odszukać ukrywającego się Buttaro, aby bardziej szczegółowo poznać głośną historię „przemytu fryzjerów”!

„Oto pod skrzydłami włoskiej ambasady” — jak określiła to miejscowa prasa amerykańska — były podoficer włoski Antonio Buttaro, oczywiście przy energicznym poparciu attache Ponteri, zorganizował i rozwijał bardzo intratny interes: nielegalny przemysł włoskich fryzjerów do USA. I to nie było jakimś, bo samych mistrzów grzebienia, speców od kunsztownego upinania włosów przy użyciu modnych obecnie wczeszek i peruk. Sza-

leją za tym pierwsze damy Ameryki, gotowe płacić za usługi włoskich mistrzów horendalne wprost ceny.

Signor Antonio Buttaro przemyczał fryzjerów, obciążając im złote góry, ale na razie, jak mówił bez zezwolenia władz amerykańskich, bez imigracyjnej rejestracji i bez pozwolenia na zatrudnienie ich w Stanach, „To-war” godził się na te warunki w nadziei na rychłą legalizację i wyższe zarobki, niż w ojczyźnie. Signor Buttaro myślał jednak o biznesie, a nie o losie swych ziomków. Po pewnym czasie stał się właścicielem sieci nielegalnych salonów kosmetycznych, zgarniając z nich po kilka tysięcy dolarów tygodniowo. Pieczęcią przemyconych fryzjerów trzymał na bardzo niskich stawkach, karmiąc ich mizernymi dorobkami. Aż nareszcie bomba pękła...

Gdy cała ta sprawa znalazła się na łamach gazet, Buttaro znikł i, ma się rozumieć, zwolniono go z pracy. Obecnie włoski ambasador w USA stara się zataić ten cały skandal przed społeczeństwem swego kraju.

## Rzym miasto bez zieleni

„VIE NUOVE” — RZYM

Jak spędza lato osiem milionów włoskich dzieci? Na ulicy! Na asfalcie, pośród domów z betonu i mnóstwa samochodów. Są to skutki bezmyślnego budownictwa mieszkaniowego, spekulacji placami i chaotycznej zabudowy miasta.

Ekspert w zakresie urbanistyki uważa, że aby współczesne miasto mogło istnieć, na każdego jego mieszkańca powinno przypadać nie mniej, niż dziesięć metrów kwadratowych przestrzeni zielonej. Pod tym względem Mediolan zajmuje ostatnie miejsce wśród miast europejskich, a w Rzymie sytuacja pod tym względem jest gorsza, niż w jakiegokolwiek innej stolicy świata.

W Rzymie na jednego mieszkańca przypada około 2 metrów kwadratowych przestrzeni zielonej(!), podczas gdy w Paryżu — 8, w Zurichu — 10, w Moskwie — 11, a w Amsterdamzie — 20 metrów kwadratowych.

Stolica Włoch nie ma ani jednego parku dla dzieci. Nie ma też małych boisk

sportowych. Zaledwie trzy procent małych rzymian może uprawiać sport, ale nawet i owe trzy procent — to dzieci ludzi zamożnych. Zieleni stała się w Rzymie przywilejem, przyjemnością za którą trzeba płacić. Ponieważ w nowych dzielnicach robotniczych i urzędniczych zieleni nie ma w ogóle, więc rosną ceny na prywatne skwery i parki. Można tam posiedzieć i pospacerować, ale nie za darmo...

Skutki tego są wręcz tragiczne. Włochy mają najwyższy w Europie procent dzieci z opóźnionym rozwojem fizycznym. Według danych centralnego urzędu fizjologii sportowej, w Mediolanie 55 procent dzieci nie może uczęszczać na lekcje gimnastyki bez uszczerbku dla zdrowia. Inna komisja podaje, że 5 milionów uczniów, to jest ponad połowa uczęszczających młodzieży, ma defekty budowy: skrzywienie kręgosłupa, skrzywienie bioder, niedorozwój mięśni itp.

By nie powtórzył się wrzesień 1939 r.

## Manifestacja pokojowa sportowców w Łęczycy

Na terenie naszego województwa w końcu pierwszej dekady września znad Warty i Neru od strony Podgębicy i Uniejowa w kierunku na Łęczycę, Kutno i dalej na Płatek cofała się Armia „Poznań”. Powzięto decyzję, by razem z niedobitkami Armii „Pomorze” i dwie jednostki wycofywały się na Warszawę. Ale droga na stolicę była odcięta, gdyż

armie hitlerowskie zmotoryzowanymi oddziałami podchodzili pod Łódź, zdobyli Ozorków, Łęczycę i Płatek. Gen. T. Kutrzeba zdecydował wykonać odciążające uderzenie spod Daszyny, Grabowa i Orłowa na Łęczycę — Ozorków na Tum, Górę Małgorzaty, Gieczno i na Płatek, Głowno, Stryków.

Tak doszło do wielkiej bitwy wrześniowej zwanej

dziś bitwą nad Bzurą, w której hitlerowskie armie poniosły duże straty. Bój o Łęczycę trwał 3 dni. Miasto zajęli Polacy rozbijając 30 dywizję zmotoryzowaną gen. von Briesena. Oczyszczono dolinę Bzury z wroga, po czym polskie kontruderzenie uderzyło na Sierpów i Gieczno. Żołnierze polscy, którzy tak dzielnie walczyli w historycznej bitwie nad Bzurą nie żądowali swej krwi. Dowodem tego są liczne cmentarze wojskowe w Łęczycy, Modlinie, Solcu Wielkiej, Orłowie i Tumie.

Dla upamiętnienia tych bohaterskich zmaganiach polskiego oręża, rokrocznie odbywają się w Łęczycy, poczynając od 5. IX, uroczystości dla uczczenia Bohaterów Walk nad Bzurą, organizowane przez ZBoWiD i

redakcję „Ziemi Łęczyckiej”. W 32 rocznicę rozpoczęcia 5. IX br., tradycyjny IX Wyscig Kolarski Szlakiem Bohaterów Walk nad Bzurą o Puchar Redakcji „Ziemi Łęczyckiej” i Wielką Nagrodę „Głosu Robotniczego”. Startować w nim będą na trasie Łęczycy — Podgębicy — Uniejów — Króśnice — Kutno — Płatek — Łęczycy a więc wzdłuż pobojowisk z września 1939 r. czołowi kolarze polscy.

Alie impreza ta jest nie tylko sportowym widowiskiem. Rozpocznie ją wielka manifestacja pokojowa na starym łęczyckim rynku.

Protoktorat honorowy nad IX Wyscigiem Szlakiem Bohaterów Walk nad Bzurą objął i sekretarz KW PZPR — Jerzy Muszyński.

ZBIGNIEW SKIBICKI



(Dalszy ciąg ze str. 1)

z naszego partykularnego podwórka, uni-  
knąć jałowego roztrząsania dylematu:  
„Kto jest winien?”

## II.

Jeśli chcemy mówić o nowoczesnym  
planowaniu kultury to, powinniśmy doko-  
nać szczegółowej analizy procesów spo-  
łecznych, demograficznych i gospodar-  
czych terenu na którym działamy. Musi-  
my mieć jasny pogląd na to, jak będzie  
wyglądała za lat dziesięć czy dwadzieścia  
wieś w naszym województwie, małe mia-  
steczko czy większy ośrodek miejski. Mu-  
simy wiedzieć jak będzie przebiegał pro-  
ces uprzemysłowienia, gdzie powstaną re-  
giony o szczególnej aktywności gospodar-  
czej i jak w związku z tym będą się  
kształtować procesy migracyjne.

Żeby rozsądnie planować, trzeba znać  
dobrze stan dzisiejszy, punkt wyjścia z  
jakiego startujemy. Trzeba sobie zdać  
sprawę, że pod wieloma względami woj.  
łódzkie w dziedzinie kultury pozostaje  
w tyle za resztą kraju. Są to rzeczy do-  
syć znane, lecz trzeba do nich wracać.

Woj. łódzkie w dziedzinie sprzedaży  
książek stoi na jednym z ostatnich miejsc  
w kraju. Jego mieszkańiec w roku 1969,  
statystycznie rzecz biorąc, kupił 0,6 egzem-  
plarza książki. Niewiele więcej kupowano  
w ogóle książek w woj. łódzkim, jeśli  
wliczymy tu jeszcze zakupy dla bibliotek.  
Wypadnie nam „imponująca” liczba — 1,1  
egzemplarza na mieszkańca. Jeśli w roku  
1968 — 100 mieszkańców w kraju wyda-  
wało średnio na książki 266 zł, to 100  
mieszkańców woj. łódzkiego na ten cel  
wydało tylko 195 zł.

Wśród 100 mieszkańców woj. łódzkiego  
— mówi statystyka — jest tylko 17,5 czy-  
telników bibliotek. Średnia krajowa —  
18,8. Warto jednak zauważyć, że odpo-  
wiednie procenty dla Białostockiego wy-  
noszą — 22,9 dla Kieleckiego — 20 itd.

Znane są też zaniedbania w innych  
dziedzinach bazy materialnej dla potrzeb  
kultury. Brakuje nam pomieszczeń dla bi-  
bliotek, za mało jest domów kultury, klu-  
bów, świetlic, sal wystawowych, kin, do-  
brze wyposażonych sal widowiskowych.  
Na skutek tego w statystykach krajowych  
woj. łódzkie ma najniższe miejsce we  
wszystkich niemal tabelach dotyczących  
życia kulturalnego.

Oczywiście przyjęliśmy po wojnie urzą-  
dzenia kulturalne Ziemi Łódzkiej w kata-  
strofalnym stanie. W latach władzy ludo-  
wej dokonaliśmy poważnego wysiłku, któ-  
ry w stosunku do tego, co było, przyniósł  
znaczący postęp. Dzisiaj jednak musimy  
wszystko mierzyć inną miarą: nie tym co  
było przedtem i jest teraz, lecz tym co  
jest gdzie indziej, a czego u nas nie ma  
oraz tym co powinno być w przyszłości.  
Inaczej na to zagadnienie patrzeć nie wol-  
no, bowiem przy takim podejściu do  
sprawy ciągle będziemy dreptać w miej-  
scu.

Zamykając rozdział zwany przeszłością,  
przyjmując ze zrozumieniem tzw. trudno-  
ści obiektywne, musimy także wiedzieć co  
wyniknęło z niedostatków naszej dzia-  
łalności, z braku inicjatywy i pomyłek w  
zakresie organizacji i strategii rozwoju  
kultury.

Z żalem muszę wyznać, że od kilku mie-  
sięcy zajmując się tą sprawą, nie mogłem  
znaleźć próby takiego krytycznego spoj-  
rzenia na program rozwoju kultury w  
woj. łódzkim. Program na najbliższe lata  
został przyjęty przez Wojewódzką Radę  
Narodową po długich i żmudnych dysku-  
sjach, po licznych przyśpieszeniach, w któ-  
rych bardziej decydowały kwestie fundu-  
szów, mogących się znaleźć w budżecie  
niż jakaś ogólna koncepcja rozwoju kul-  
tury Ziemi Łódzkiej, opierająca się na jej  
własnych możliwościach, potencjale go-  
spodarczym i kadrowym.

## III.

W Polsce poważnie są zaawansowane  
prace nad perspektywnym rozwojem  
kraju aż po rok 2000. Kształtują się kon-  
cepcje rozwoju głównych centrów prze-  
mysłowych kraju, regionów i okręgów,  
zespółów miejskich. Ustalono prognozy

demograficzne, są orientacyjne dane o  
kształtowaniu się struktury demograficz-  
nej, ruchach migracyjnych. Ani śladu ta-  
kich analiz nie znajdziemy w dokumen-  
tach dotyczących rozwoju kultury woj.  
łódzkiego.

Przyjrzyjmy się tej sprawie trochę bli-  
żej. W przyjętych hipotezach w 1985 ro-  
ku liczba ludności miejskiej w Polsce wy-  
nieśnie około 60 proc. Ludność mieszkają-  
ca na wsi będzie zatrudniona w rolni-  
ctwie tylko w 50 proc. Do roku 2000, na

skutek postępu automatyzacji, liczba za-  
trudnionych w przemyśle zmaleje do 25  
proc., w rolnictwie natomiast będzie pra-  
cowało tylko 15 proc. ludności kraju. W  
tej sytuacji około 60 proc. pracujących  
przypadnie na sferę usług. Proszę się za-  
stanowić jakie z tego konsekwencje wyni-  
kają dla problemów rozwoju kultury, dla  
planowania jej bazy materialnej!

Przewiduje się, że do roku 2000 podwoi  
się liczba ludności miejskiej, a inne prze-  
miiany demograficzne doprowadzą do tego,  
że charakterystyczny dla społeczeństw  
zurbanizowanych sposób życia i określony  
typ kultury stanie się powszechny, nieza-  
leżnie od miejsca zamieszkania. Może  
ktoś powiedzieć, że trochę na wyrost w  
tych ogólnych procesach umieszczam pro-  
blematykę Ziemi Łódzkiej i że z pewno-  
ścią odrobinną przesadą martwiąc się  
co będzie za lat 30. Pamiętajmy jednak,  
że winę za stan dzisiejszy zrzucamy na  
przeszość. Po co mamy w kółko powta-  
rzać tę samą zabawę i my sami, lub nasi  
następcy, mają za lat trzydzieści mówić,  
że coś my w tych latach siedemdziesią-  
tych sknociłmy. Gdyby to jeszcze tylko  
o mówienie chodziło!...

Ale wróćmy do hipotez rozwoju nasze-  
go kraju. Zauważmy, że Ziemia Łódzka  
położona jest pod względem struktury e-  
konomiczno-demograficznej kraju w tzw.  
regionie centralnym, będzie się więc znaj-  
dowała w samym środku omawianych tu  
procesów. Z dotychczasowych przewidy-  
wań wynika, że intensywnym uprzemy-  
słowieniem i rozwojem objęte zostaną  
Kutno, Sieradz i Tomaszów Maz. Rozwi-  
jać się będzie Radomsko i Wielun, po-  
ważny wzrost ludności zanotują Łowicz,  
Ozorków, Piotrków, Skierniewice, Zduń-  
ska Wola, a przede wszystkim tzw. Łódz-  
ki Zespół Miejski, który obejmie ponad  
milion ludzi.

Wzrost liczby ludności miast nastąpi  
przede wszystkim kosztem zmniejszenia  
liczby mieszkańców wsi. Ten fakt musi  
być brany pod uwagę przy planowaniu  
sieci urządzeń kulturalnych na wsi łódz-  
kiej. Jednocześnie wiadomo, że przez dłu-  
gi czas nie da się likwidować zbyt wiel-  
kiego rozproszenia osadnictwa wiejskie-  
go, które zależne jest od przemian struk-  
tury rolnej. Od razu więc można powie-  
dzieć, że nigdy nie będzie możliwe, ani  
nie będzie miało uzasadnienia wyposaże-  
nie każdej wsi w konieczne usługi o cha-  
akterze kulturalnym.

Specjaliści twierdzą, że trzeba zacho-  
wać trójstopniowy układ hierarchii funk-  
cjonalnej wiejskich jednostek osadniczych.  
Pierwszy stopień obejmuje jednostkę o  
obszarze gruntów uprawnych w zasięgu  
1,5 km; drugi — nie większą, niż o pro-  
mieniu 4 km. Trzeci stopień społecznej  
wielkości wiejskiej stanowi małe miasteczko  
rolniczo-rzemieślnicze, lub duża wieś o  
dogodnym położeniu komunikacyjnym.  
Stosuje się również inne wyznaczniki, ale  
ze wszystkich tych dociekać wynika, iż  
rzeczą naturalną jest powstawanie małych  
centrów regionalnych. Dopiero na pozio-  
mie trzecim można myśleć o takich ur-  
ządzeniach jak kino stałe, dom kultury,  
czy dom młodzieży.

Gdzie, kiedy i jakie ośrodki będziemy

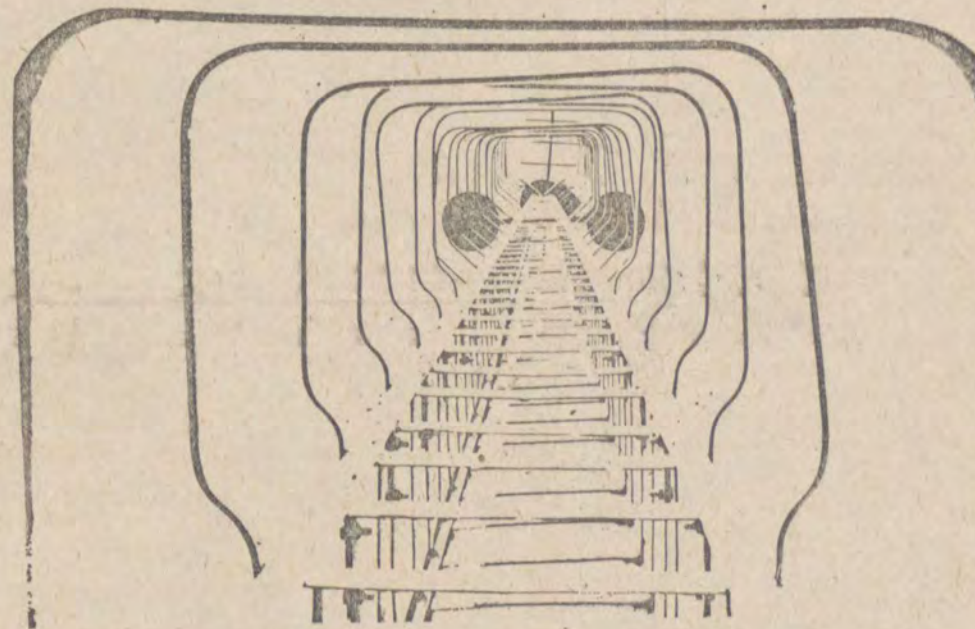
umacniać na Ziemi Łódzkiej? Nie odpo-  
wiada na to pytanie obecny program roz-  
woju kultury na najbliższe lata. Nie wia-  
domo, w których ośrodkach miejskich  
koncentrować się będą główne centra kul-  
turalne. Oczywiście, założenia programo-  
we województwa przewidują postęp w  
różnych dziedzinach kultury, wzbogacają  
pewne ośrodki czy regiony. Rzecz jednak  
w tym, iż nie mamy pewności czy te  
wszystkie zamierzenia układają się w  
plan perspektywny sprzężony z ogólnymi

prawidłowościami rozwoju gospodar-  
czego kraju i Ziemi Łódzkiej. Można na-  
wet wyrazić obawę, że w wielu punk-  
tach rozmiągają się.

## IV.

Cały problem sprowadza się do kon-  
centracji środków finansowych, do jak  
najlepszego wykorzystania funduszy, które  
będzie można przeznaczyć na rozwój  
kultury. Myślę tu nie tylko o funduszach  
Wojewódzkiej Rady Narodowej, z konie-  
czności skromnych w stosunku do po-  
trzeb, ale także o środkach, którymi dys-  
ponują jednostki gospodarki społecznej,  
związki zawodowe, organizacje ma-  
sowe. Myślę tu także o tym nie wykorzy-  
stany potencjał, który się kryje w po-  
mysłowości, inicjatywie i społecznej akty-  
wności wielu środowisk.

Najpierw jednak musimy wypracować  
ogólną koncepcję polityki kulturalnej, ja-  
sno określić jej cele i zakresy, ułożyć  
konkretny plan uwzględniający wszystkie  
czynniki, o których tu już była mowa, a  
później dopiero dokonać bilansu środków  
i możliwości, by we wspólnym działaniu  
realizować taki jednolity program.



Wydaje się, że konieczne jest obecnie  
powołanie zespołu ekspertów dla opraco-  
wania analiz demograficznych, ekono-  
micznych, społecznych, socjologicznych, stu-  
diów regionalnych, na podstawie których  
można byłoby ustalić perspektywiczne  
założenia rozwoju centrów kulturalnych  
Ziemi Łódzkiej o różnych poziomach. Nie  
ruszmy z miejsca jeśli nie dokonamy,  
wykorzystując wspomniane analizy, pre-  
cyzyjnego bilansu potrzeb rozwoju bazy  
materialnej w dziedzinie kultury. Jeśli w  
tym bilansie nie rozpatrzymy takich  
spraw jak budowa lub adaptacja sal tea-  
tralnych, sensowny rozwój sieci kin, pla-  
cówek obsługi technicznych urządzeń au-  
diowizualnych, bibliotek i czytelni, ośro-

ków rekreacji i rozrywki, to będziemy  
często inwestować na ślepo i bez sensu —  
jednym ośrodkiem fundować rzeczy na  
wzrost, innym, nie budując, ograniczać  
potencjalne możliwości rozwoju.

Taki bilans potrzeb zharmonizowany z  
prognozą rozwoju kraju do roku 2000,  
i z potrzebami na dzisiaj, może stanowić  
podstawę do opracowania konkretnych  
zamierzeń, do koncentracji wysiłku wo-  
kół spraw najważniejszych, decydujących  
o przyszłości. Ten punkt wyjścia może do-  
piero stanowić podstawę do decyzji wy-  
rażających się pozycjami w budżecie, w  
planach gospodarczych. Nie chodzi tu o  
to, byśmy mogli wszystko zrealizować na-  
tychmiast; wiemy jakie są możliwości fi-  
nansowe państwa, ale musimy mieć peł-  
ny pogląd na to do czego mamy dążyć, co  
chcemy osiągnąć i co możemy tutaj, na  
miejscu, własnymi siłami zrobić.

## V.

Jeśli mowa tu cały czas o upowszech-  
nianiu kultury, to trzeba wyraźnie powie-  
dzieć, że mamy na myśli nie takie dzia-  
łanie w tym zakresie, które przyjęło się  
od lat i wywodzi z przestarzałych, niemal  
XIX-wiecznych, wzorów. Ciągłe jeszcze  
bowiem pokutuje model następujący: nie-  
wykształcone kulturalnie społeczeństwo i  
ludzie niejako wybrani powołani do jego  
kształcenia. Symbol „Siłaczki”, szlachetnej  
istoty ogarniętej pasją społecznikowską,  
nie wytrzymuje próby czasu. A przecież  
tkwi on głęboko w świadomości tych  
wszystkich ludzi, którzy upowszechnia-  
niem kultury się zajmują. Ta postawa  
przejawia się w bardzo różnych wariant-  
tach, czasem jej istota jest trudna do wy-  
krycia.

Mam wrażenie, że właśnie tutaj tkwi  
niejeden błąd i naszego planowania kul-  
turalnego, jego ograniczenia i partykula-  
ryzmu. Jeśli więc dyskutujemy o progra-  
mie rozwoju kultury Ziemi Łódzkiej, to  
myślimy o kulturze upowszechnianej z  
zupełnie innej pozycji. Podstawą musi być  
świadomość, że mamy dokonywać zabie-  
gów organizacyjnych umożliwiających  
pełniejsze wykorzystanie już istniejącej,  
choć nie zawsze ujawnionej, aktywności

KRZYSZTOF POGORZELEC

## Twarzą w twarz

UBRANY na amery-  
kańską modłę strażnik  
służby granicznej o-  
braca w ręku mój paszport.  
Wiem, że wszystko jest w  
porządku, że nie brakuje  
ani jednej pieczętki, ale zaw-  
sze... Pod pachą dzierży  
wskaz grubą książkę, gdzie  
jak w skoroszybie powpina-  
ne są kartki z nazwiskami  
osób „niepożądanych w  
Bundesrepublikie”.

— Pan z Polski? Na dłu-  
go? Byłem w Warszawie...  
I zaraz jakby dla wyja-  
śnienia: — Tylko przejez-  
dem. Ładne miasto.

Jeszcze jeden z tych co  
„byli”. Ale nie to jest u-  
derzające. Sprawdzam: to  
nie tylko moje odczucie. Bo  
ilekroć dochodziło do ofi-  
cjalnego bądź prywatnego  
kontaktu z przedstawicielami  
tutejszej władzy, albo

przeciętnym mieszkańcem  
Bundesrepublik, informo-  
cja że jestem Polakiem  
„stamtąd” wywoływała zaw-  
sze taką samą reakcję: o-  
gromne zaciekawienie, jak-  
bych chęć zajrzenia do duszy  
tego dziwadła, które z ko-  
munistycznym paszportem  
w kieszeni przyjechało tu-  
taj zza Odry i to w dodat-  
ku na oficjalne zaproszenie  
Senatu miasta Hamburga i  
jego Ministerstwa Gospo-  
darki. I jeszcze coś: posu-  
niętą aż do przesady, nie-  
kiedy nawet natrętną uprzej-  
mość, gorliwość w świad-  
czeniu rozmaitych usług. Za-  
rzuć — jakby pewna  
usłużność, której próżno  
szukać gdy do takiego sa-  
mego kontaktu dochodzi  
między mieszkańcem NRF,  
a powiedzmy Amerykani-  
nem, Francuzem czy Bry-  
tyjczykiem, choć ich sa-

kiewki są na pewno zasob-  
niejsze. Oczywiście, nie mó-  
wiąc już o południowych  
nacjach! Zygmunt Sawic-  
ki, korespondent polskiej  
TV akredytowany w Bonn-  
gdy podzieliłem się z nim  
swoim spostrzeżeniem sko-  
mentował je tak: — Praw-  
da, tylko pod jednym wa-  
runkiem. Jakim? A no,  
że jesteś... autentycznym Po-  
lakiem, to znaczy „stamtąd”  
i wracasz „tam”.

Hm. Już po powrocie do  
kraju — wziąłem do ręki  
książkę Ryszarda Wojny  
„Spokojnie płynię Ren” i  
znalazłem na jej kartkach  
taką refleksję: „Słowo Pol-  
ska wywołuje w świadomo-  
ści przeciętnego Europej-  
ciela władzy tego kraju, gdy  
styka się z Polakiem, okre-  
śloną reakcję, w której  
mieszają się ciekawość, tro-  
chę poczucia winy, laskawe

nuworiszowskie poklepanie  
po plecach, a zarazem chęć  
odciąć się od ziomeków, że  
to niby oni... tamci... ale  
nie on. Emigrant z Polski  
nie może być katalizatorem  
skruchy, już choćby dlate-  
go, że stoi dziś — chce czy  
nie chce — po tej samej  
stronie barykady co władza  
NRF. Po antykomunistycz-  
nej. Tym samym nie re-  
prezentuje — chce czy nie  
chce, interesów tej jedynej  
prawdziwej Polski, jaka i-  
stnieje. Polski komunistycz-  
nej. Nawet kiedy przema-  
wia językiem polskiego na-  
cjonalisty, jak np. pisarz  
emigracyjny Tadeusz Nowa-  
kowski, współpracownik  
„Wolnej Europy”, występu-  
jący niekiedy w dziennikar-  
skiej trybunie dyskusyjnej  
na ekranach zachodnio-  
niemieckiej telewizji. De-  
klaracje jego są przyjmo-

wane z przymrużeniem oka.  
Wiadomo przecież, że i tak  
jest po stronie „wolności”,  
przeciw komunistycznej dy-  
ktaturze...”.

Rodzaj prywatnej, tak so-  
bie czynionej, na własny u-  
żytek, maleńkiej ekspiacji,  
najlepiej czynionej na  
„boczniku”, bez świadków no  
i bez konsekwencji? Obo-  
jętnie jakich: towarzyskich  
czy społecznych.

\* \* \*

Młody człowiek podbiegł  
do mnie i wetknął mi do  
ręki zadrukowany kartelu-  
szek. Jakaś religijna orga-  
nizacja pyta mnie czy je-  
stem przeciwko pornografii.  
Wszystko to działo się w

Dalszy ciąg na str. 4



# Stefania Skwarczyńska

**N**a Uniwersytecie Łódzkim znajduje się jedyna w Polsce Katedra Teorii Literatury, Teatru i Filmu, która przygotowuje polonistów, specjalizujących się nie tylko w problemach teoretyczno-literackich, ale także w zagadnieniach filmu, teatru i telewizji. Pracą katedry kieruje prof. dr Stefania Skwarczyńska, członek-korespondent Polskiej Akademii Nauk, dawniej członek-korespondent b. Towarzystwa Naukowego we Lwowie, b. Warszawskiego Towarzystwa Naukowego oraz b. Polskiej Akademii Umiejętności.

— Co wpłynęło na zmianę struktury katedry, która dawniej była tylko Katedrą Teorii Literatury, obecnie jest Katedrą Teorii Literatury, Teatru i Filmu, a jak słyszałam, przekształciła się niebawem w Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu?

— Mówiąc najkrócej — współczesność. Charakteryzuje ją integralny spój wielu elementów kultury: literatury, teatru, filmu, plastyki i telewizji. Działalność odbiorca spotyka się na przykład z utworem literackim także w kinie, w teatrze czy na telewizyjnym ekranie. Powinien być do tego odpowiednio przygotowany zarówno w szkole, jak i później, poprzez działalność różnorodnych placówek kulturalnych. Dlatego postanowiliśmy przysposobić naszych absolwentów nie tylko do pracy w szkole, ale również do pracy w wydawnictwach specjalistycznych, teatrach, klubach filmowych, domach kultury, amatorskim ruchu teatralnym i na organizacyjnych placówkach kinematografii. Wszędzie tam trudno byłoby pracować polonistom, których wykształcenie ograniczone było do starego modelu filologii. I to właśnie były przyczyny, które wpłynęły na zmianę struktury katedry.

— Jaki jest kierunek prac badawczych katedry?

— Staramy się przede wszystkim mocno tkwić we współczesności. Stąd interesuje nas naukowo-współczesny warsztat literacki, teatralny i filmowy. Z zagadnieniami teorii tych sztuk wiążemy spojrzenie historyczne, zwłaszcza w nauce o teatrze. Stąd takie m. in. tematy wśród prac doktorskich i magisterskich, jak: „Analiza warsztatu literackiego Tadeusza Brezzy”, „Film historyczny w dorobku polskiej sztuki filmowej”, „Polska szkoła filmowa”, „Teatr łódzki w różnych okresach historycznych”, „Nowy styl repertuarowo-inscenizacyjny w teatrze kaliskim”.

— A nad czym obecnie pracuje Pani Profesor?

— Właśnie przerwała mi pani



korektę maszynopisu studium o Romancie Ingardenie — polskim filozofie i estetyku. Studium to poświęciłam jego poglądom na rodzaje literackie.

— Praca ta będzie z kolei...

— ...trudno poleczyć. Bądź co bądź idzie tu o przeszło dwie setki różnego typu prac.

— Którą z nich ceni sobie Pani najbardziej?

— Chyba „Wstęp do nauki o literaturze”. Szczególnie tom drugi, traktujący o języku i stylu dzieła literackiego oraz tom trzeci — o rodzajach literackich. Cenię sobie też rozprawę „Zagadnienia dramatu” z roku 1948, bo była to moja pierwsza propozycja traktowania dramatu w ramach sztuki teatralnej. Ze szczególnym sentymentem odnoszę się do swoich licznych prac o Mickiewiczu, w tym kilku pozycji książkowych.

— Czyżby to był ulubiony piśarz Pani Profesor?

— Nie idzie o to, że ulubiony, ale o to, że wielki i to w skali światowej. Dotąd jeszcze nie zdo-

łała nauka rozwiązać ostatecznie tajemnicę jego wielkości.

— Jak Pani Profesor wspomina pracę nad pierwszą publikacją?

— Przyjmijmy, że jest nią wydana w 1925 roku „Ewolucja obrazów u Słowackiego”. Była to rzecz na owe czasy wybitnie w swej problematyce nowa, co podkreślił znakomici krytycy (W. Borowy, G. Maurer). Oczywiście dalszą badani w tym kierunku poszły bardzo daleko, nie odbierając jednak tej pracy zasługi inicjatywy.

— Jakie cechy, Pani zdaniem, powinien posiadać naukowiec?

— Nowoczesny uczonec nie może być tylko uczonym „gabinetowym”, twórczą swoją działalność musi rozszerzyć na prace dotyczące organizacji nauki, udziału i kierownictwa naukowych prac zespołowych, kształcenia młodej kadry naukowej, rozpowszechniania wiedzy w swojej specjalności. Wymaga to prawdziwego, głębokiego umiłowania nauki, wielkiego społecznego i, jak zawsze, gdy idzie o skuteczność działania, ukochania drugiego człowieka.

— Dlaczego wśród naukowców jest mało kobiet?

— Nie wydaje mi się, aby było ich mało, mimo iż niewątpliwie odciągają kobiety od warsztatu naukowego obowiązki kobiece. Nie sięgając wstecz i ograniczając się do własnej specjalności pragnęłabym tu ewokować znakomitą uczoną — prof. dr Zofię Szmydtową. Dzisiaj jest już legion starszych i młodszych pracowniczek nauki w naszej Akademii i w naszych instytucjach.

— Pozwól Pani Profesor, że korzystając z naszej rozmowy, w imieniu Czytelników i redakcji „Ogłoszeń” złożę Pani najserdeczniejsze gratulacje z okazji niedawnej nominacji na członka-korespondenta PAN. Fakt ten niewątpliwie uciechy dla Pani byłych i obecnych studentów. Wszyscy bowiem wspominamy Panią Profesor ogromnie ciepło i serdecznie.

— Z pewnością gratulacje od was młodych, szczególnie są bliskie memu sercu. Starałam się za zawsze widzieć w was nie tylko fałg, którą zadecyduje o kształcie naszej kultury w przyszłości, ale jednostki o własnych pasjach, dążeniach i możliwościach. Każdy z was był i jest mi osobście bliski i drogi.

— Mając tak liczną rzeszę wychowanków może Pani dokonać pewnych porównań. Co Pani Profesor sądzi o współczesnej młodzieży?

— Często do niedawna krytyka współczesnej młodzieży była najzupełniej sprzeczna z moimi doświadczeniami, wynikłymi z bezpośrednich kontaktów. Ani pod względem przysposobienia intelektualnego, ani pod względem pasji i zainteresowań nie różni się ona od młodzieży dawniejszej, chyba, że na swoją korzyść. Oczywiście, styl jej dzisiaj jest inny, a należy do niego pewna powściągliwość i wstydlivość w wyrażeniu uczuć, utrudniająca z pewnością jej poznanie i życie się z nią. Ale — na ogół — wyłączamy tutaj społeczny margines chuliganów i niebieskich ptaków — jest ta młodzież, moim zdaniem, wspaniała.

Można na nią stawiać we wszystkich poczynaniach, budujących naszą polską przyszłość.

— Wracając może do spraw katedry: czy ma ona jakieś kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi?

— Tak. Kontakty te i współpraca są równie żywe, jak z polskimi ośrodkami uniwersyteckimi (szczególnie IBL, PAN i Instytut Filologii Polskiej w Uniwersytecie Wrocławskim). Polegają one na korespondencyjnej i osobistej wymianie doświadczeń, na konsultacjach naukowych; odwiedzają naszą katedrę, niekiedy odbywając staże od kilku dni do miesiąca, pracownicy nauki z całego niemal świata. Ponadto skierowani zostali do katedry na zasadzie stypendiów młodzi adeptci nauki z zagranicy, przygotowujący doktoraty. Anglik bawił u nas dwa lata, a ostatnio Włoszka w ciągu całego minionego roku akademickiego. Dzięki kontaktom z zagranicą biblioteka katedry wzbogaca się o cenne naukowe wydawnictwa.

— Na ostatnim Kongresie Kultury Polskiej była Pani Profesor propagatorem idei ścisłego kontaktu placówki naukowej ze środowiskami twórczymi. Nazwano tę ideę „łódzkim eksperymentem”. Jak to realizuje się w praktyce?

— Istota „łódzkiego eksperymentu” wynika z naszego silnego i programowego związania z Łodzią i regionem. Wyszliśmy ze sprzeciwu nauki obcej życiu — utrzymujemy stałe kontakty i prowadzimy wymianę usług z ośrodkami twórczymi w Łodzi. Ze środowiskiem literatów, plastyków, filmowców, na szeroką skalę z teatrami. I tak na przykład uczestniczymy w dyskusjach organizowanych przez teatr, a artyści teatrów w dyskusjach organizowanych u nas. Niektóre z teatrów pomagają nam w dydaktyce, dopuszczając studentów do prób i rozmów o sztuce. W zamian staramy się wykształcić dla teatru kierowników literackich, archiwistów, etc., a także podejmować w naszych pracach takie tematy naukowe, które ważne są dla teatrów, bo ustalają ich historię i tradycje. Dla rozszerzenia wiedzy o teatrze podejmuje nasz Ośrodek Dramatu i Teatru — razem z Towarzystwem Przyjaciół Łodzi — cykl odczytów dla młodzieży licealnej. W tym samym duchu współpracują poszczególne ośrodki naukowe katedry z Ośrodkiem Metodycznym ZNP, a także z klubami filmowymi.

— I na koniec jeszcze jedno pytanie: jaki jest stosunek Pani Profesor do polskiej literatury współczesnej?

— Pełen entuzjazmu. Mamy znakomitych twórców z dziedziny prozy i poezji i to nie tylko starzego pokolenia, jak Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Breza, Jastrun, Przyboś, Piechal, szczerzyć się możemy młodszymi pokoleniami świetnych liryków z Różewiczem, Szymborską i Ursulą Kozioł na czele. Mam przeświadczenie, że przyszły historyk uzna okres twórczości literackiej po II wojnie światowej za szczególnie ważki i cenny w historii naszej literatury.

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ



PISARZE ANGIELSCY I AMERYKAŃSCY

Wiedza Powszechna konsekwentnie od lat wypuszcza na rynek leksykony i słowniki, poświęcone pisarzom różnych obszarów językowych. Po „Słowniku pisarzy narodów ZSRR” i „Słowniku pisarzy świata”, ukazał się obecnie „Mały słownik pisarzy angielskich i amerykańskich”, zawierający ponadto sylwetki autorów kanadyjskich, australijskich i południowoafrykańskich, piszących w języku angielskim. Słownik obejmuje około 800 biografii poetów, powieściopisarzy, dramaturgów, eselistów i filozofów. Autorzy poszczególnych haseł ukazują twórczość pisarzy na tle osiągnięć rodzimych i literatury światowej, a także uwzględniają polskie przekłady ich dzieł. W „Słowniku” znajduje się sto osiem wybranych podobizn pisarzy. W słowie od wydawcy czytamy m.in.: „Zakres informacji obejmuje najważniejszych twórców od początku istnienia wymienionych literatur aż do czasów współczesnych. Zadaniem Słownika jest dostarczyć Czytelnikowi podstawowych wiadomości, dotyczących biografii i bibliografii danego pisarza, a także — w skróconym zakresie — dać syntetyczny obraz całokształtu jego twórczości”. Jest to więc niezwykle cenna publikacja, wypełniająca dotkliwą lukę w naszym literaturoznawstwie. Wydaje się, że „Słownik pisarzy angielskich i amerykańskich” jest jednym z najlepiej opracowanych leksykonów tego rodzaju. Poprzednio wydane słowniki zawierały wady i niedostatki, których w tym wypadku zdołano się ustrzec. Obecnie wydany słownik budzi osłomę na dalsze pozycje z tego zakresu. Chcielibyśmy doczekać się jak najprędzej leksykonu pisarzy niemieckiego obszaru językowego, pisarzy włoskich, hiszpańskich itd. Wiedza Powszechna dobrze zasługuje się czytającej publiczności, zainteresowanej kulturą i literaturą innych krajów. (JK.)

\*) Mały słownik pisarzy angielskich i amerykańskich, Wiedza Powszechna, Warszawa 1971 r.

## Twarzą w twarz

Dalszy ciąg ze str. 3

poblizu śmiesznie nieokazalego na tle betonowych, szklanych i aluminiowo-neo nowych pudeł z cielesną rozkoszą jaką w Europie oferuje się tylko tutaj — na hamburskim Reeperbahn, kościółka, którego niezłomnym proboszczem szarpającym nader rozebranymi pokusami był sam Curd Jurgens. Oczywiście, w filmie. Ale właśnie — pytała się. Na nocnych stolikach w hotelach zachodnioludnich, chyba że są prowadzone przez organizacje religijne, nie znajdziesz, jak to bywa w krajach anglosaskich, biblii, za to nader często arkusz z pytaniami. I wolne rubryki do wpisania odpowiedzi.

Pytają cię:

— Jakiego smaku pasty do zębów najchętniej używasz?

Czy wolisz brunetki czy blondynki?

Czy akceptujesz „hot pant sy” czyli mówiąc po polsku — gorące majtki?

Pytają, pytają. Zachodnioludni pisarz Kurt Geyer nazwał tą powszechną, wszechogarniającą i zalewającą NRF manie „wielkim przesłuchaniem”.

Pytają. Także o sprawy, które nas ludzi „stamtąd” bardzo interesują. Coraz to wielkonakładowe dzienniki, kolorowe tygodniki o milionowych edycjach publikują sążniste raporty. Przeciętny mieszkaniec, ale może raczej mieszczuch NRF dostrzega się stąd... co sam

(czy aby na pewno?) myśli o różnych sprawach. Zostawmy na boku rezultaty sondaży o społecznej percepcji „gorących spodenek”, choć jak się okazuje i one mogą być atutem w określonego typu propagandzie czy raczej w urabianiu opinii — jak się to tu mówi z angielska: „public relation”.

\* \* \*

Przyznaję, że miałem zbyt mało czasu, byłem zbyt krótko w Bundesrepublik, bym mógł poznać wszystkie „twarze” ludzi wśród których wypadło mi przez pewien czas żyć. Bym mógł poznać twarze, które kierują oni również w stronę przybysza z tego dla nich niezrozumiałego kraju — z Polski. Warto jednak dla celów poznawczych zaprezentować niejako wyselekcjonowane oblicze — powiedzmy tak — przeciętne go mieszkańca NRF. Będę się przy tym wspomagał faktami zaczerpniętymi z książki jaką po swoim długoletnim pobycie w Nie-

mieckiej Republice Federalnej napisał Eugeniusz Guz \*). Wziąłem ją do poduszki, tak bym mógł lepiej patrzeć, widzieć, a może i rozumieć.

Allensbacher Institut w swojej ankietaowej wiwoli o stosunku obywateli Bundesrepublik do problemów łączących się z naszym krajem, podaje w swoim najnowszym opracowaniu następujące stwierdzenie: „Na temat Polski można spotkać dwa poglądy. Jedni utrzymują, że powinniśmy nawiązać z Polakami przyjacielskie stosunki, odsuwając sprawę niemieckich terenów wschodnich na później, inni natomiast twierdzą, że dopóki Śląsk, Pomorze i Prusy Wschodnie są polskie, dopóty nie możemy z Polakami pozostać w przyjaźni. Który z tych dwóch poglądów panu (!) bardziej odpowiada — pyta się Allensbacher Institut. W roku 1963 pierwszy pogląd był udziałem 59 proc. badanych, drugi — 21 proc., a niedocydowani stanowili 20 proc. Na pytanie: czy wie pan(!)

jakie dawne tereny niemieckie znajdują się w Polsce, w październiku roku 1963 trafna odpowiedź dało 36 proc. badanych, a błędna lub niepełna aż 64 proc.

Kiedy byłem w NRF, na łamach pism reprezentowanych przede wszystkim przez koncern Springer, trwała aktualnie debata i szeroka kampania propagandowa mająca wykażać nieprzydatność rozszerzania stosunków gospodarczych z Polską, a udowodnieniu tej tezy miały służyć m. in. wyniki badań ankietowych. Mimo wszystko, gdy rozmawia się z ludźmi, nawet z owym portierem ubranym w liberię i śmieszny cylinderek otwierającym drzwi samochodów zajeżdżających przed hamburski hotel „Atlantia”, odnosi się wrażenie, że jest to jakieś działanie „pod prąd” na przekór interesom ogółu. I to nie tylko w NRF. Senator Helmut Kern, podejmując nas w sali hanzatyckiego ratusza, mówił niedwuznacznie o roli jaką wsołbraca z Polską ma nie tylko dla funkcjonowania portu, ale

również całokształtu ekonomiki tego największego w Niemieckiej Republice Federalnej miasta.

Wielkie przesłuchanie w Bundesrepublik trwa. Pytają się jak powinien wyglądać pomnik złotowłosej Lorelei na skalistej ścianie Renu. Pytają się o drobne i niezwykle ważne nie tylko dla przyszłości tego kraju sprawy. Trwa również polaryzacja poglądów. Pytanie tylko — w którą stronę.

Mienią się reklamy na nocnym niebie Hamburga. Ktoś kogoś namawia, by wakacje spędzić na Balearach. Komunikuje, że dolar kosztuje już tylko 3 marki 47 pfenigów, że w wielkim domu towarowym „OTTO” od jutra jest wielka wyprzedaż po zniżonych cenach. Świetlna gazeta donosi o nowej strzelaninie w zaulkach rozrywkowej dzielnicy, gdzieś w wąskich pasażach na St. Pauli, jakby mimochodem dodając, że coraz większym problemem socjalnym są napływowi robotnicy. Znowu któryś z



(Dalszy ciąg ze str. 1)

jest po brzegi kapslami od butelek z piwem. Lekko licząc — tysiąc sztuk. Widocznie płon sprzedaż poprzecznego dnia.

Płynie czas. Piwo leje się nieprzerwaną strugą. Cały dzień. Dworzec jest jednym wielkim ściekiem. (Podobnie jak Dworzec Kaliski, gdzie również dwa budokioski serwują piwo zapieczonym facetom, a stado „świętych krów” bełże się po całym dworcu) — rozlewającym się aż do dworca autobusowego i parku kolejowego, gdzie jest jeszcze jeden kiosk z piwem. I cały dzień obłożony! Miejsce odpowiednie. W parku są ławki. Tu się siedzi i leży, paskudzi na oczach przechodniów... Patrz Moniuszko na nas z nieba! Nie było dla Ciebie lepszego miejsca na pomnik. Utopię Cię w brudnej fali piwiska i skutków jego spożywania.

Wejźmy jeszcze — niesieni piwną falą — na ulicę Składową. Sławna ulica i wszystkie jej posesje. Pierwsza lepsza brama — fuj, jak cuchnie. Brama-ubikacja. Trzej ukryci za furtką mężczyźni sączą piwo z butelek. Na zakaske. W tej bramie jest melina z wódką. I nie tylko w tej — wiemy to na pewno.

☆☆

Jeszcze nie ma godz. 9. Przed „Balatonem” falujący tłum mężczyzn. Czeka na otwarcie „piwopiju”. Są niecierpliwi i natarciwi, kłocą się i sypią „wiązankami”. Przechodnie omijają ich z daleka.

— Większość z nich to jedni i ci sami — cały dzień to tak przestoi, lumpy i nie więcej — nieroby, tyle chłopów stoi całymi dniami, gdzie oni pracują? Ktoś to powinien sprzątać sprzed „Balatonu” jak śmiecie — wybuch ekspedientka przy balatonskiej spienionej bazie.

— Och, tu jest o niebo lepiej niż w „Kesie” — mówi druga. — Jak tam pracowałam to stało ich przez dzień ze trzystu, nigdy tam nie wróciłabym do pracy, bójkę, awantury, wzywanie milicji, nie do wytrzymań nerwowo.

— O, jest piwo! — Tłumek rzucił się do drzwi. Z napelnionymi kufkami wyłaził przed „Balaton”, chlapiąc piwem na ulicę — ileż radości! Tak będzie przez cały dzień, z przerwą na czekanie od 13 do 14.

☆☆

W „Kesie” o godz. 10 jest jeszcze cicho. Awantury zaczynają się wieczorem, kiedy cała ferajna ścignię na pobożne ogrodzone murem z żelazną poręczą. Obsiadają poręcz jak kruki, a każdy będzie miał w ręku kufel piwa. Wypiją i zaczynają rozrabiać. Teraz na poręcz siedzą staruchy-pijaczyny. Wypływają niedopałki papierosów i strzykają ślina.

☆☆

Piwopój w „Rarytasie” — niespotykanej ekspozycji brudactwa (także z sanitarnego punktu widzenia), oddzieli żywym murem podpiętych mężczyzn. Mur ciągnie

się stunoga kolejką i tarasuje wejścia do baru. Odór brudnej ścielki wydobywa się z... „Rarytasu” Stara, obdarta kobieta przepycha się bez kolejki. Mur się rozsuwa — ma szacunek dla takich niewiast. Starucha duszkciem wypija wielki kufel, zdmuchując pianę i toczy się w kierunku kosza na śmieci. Przegląda jego zawartość. Klienci „Uniwersalu” obchodzą z daleka cuchnący fragment gastronomicznej wizytówki.

☆☆

Możemy teraz wejść do jedynej piwiarni. Prawdziwa piwiarnia w podziemiach, urządzona na modłę ludową, zasobna w oryginalne

tu z ludzi, którzy chcieliby posiedzieć i pogwarzyć przy kufku piwa, może i pośmiać się i pośpiewać — jak to w innych krajach bywa — tu się nie zjawi.

Banda nierobów opanowała lokal, szczytując się emblematem I kategorii w zestawie LZG-Bary. Tu trzeba pilnować nawet beczek z piwem, bo kradną, nie mówiąc o cepeliowskich popielniczkach. A śpiewy? Ryczą i wyją jak dzikie zwierzęta.

Garbaty człowiek chodzą od stolika do stolika i żerze o postawienie kufka piwa. Ten w okularach i białej koszuli to „cinkciarz”. Wychodzi do „roboty”, wróci tu wieczorem. Razem z tym drugim — „konikiem”. Czterech łapserdaków obnażających ramiona robi ze stolika arenę do próby siły rąk. Kibice dopingują faworytów słowami, od których uszy opadają. Kelnerki noszą nieprzerwanie ogromne ilości piwa — Panienczko, jeszcze raz cztery!

Piwiarnia. Za ciężkie pieniądze urządzona dla pasożytów!

☆☆

Ranek. Godzina 6. Otwierają swe podwoje sklepy spożywcze. Przed 557 z nich — na terenie całego miasta — czekają już konsumenci piwa. Zjawiają się jak szczyry — nie wiadomo z jakich nor. Są wśród nich pracownicy drogowi i budowlani — konwojenci, wyrostki i starcy. Piją przed sklepem. Dziesiątki spożywczych sklepów znajdują się obok szkół. Dzieci wybiegają na przerwach po bułki i słodycze. Patrzą i słuchają. To też lekcja. Jeżeli dostaną temat rysunkowy: „czego brakuje w panoramie ulicy” — odpowiedzą: pijaków z piwem. (Tak, jak odpowiedział jakiś chłopiec w temacie: „czego brakuje na stole?” — „butelki i kieliszków”).

Popatrzmy na sklep przy zbiegu ulic Sarniej i Armii Czerwonej. Trzy budynki dzieli go od szkoły. Czy ktoś się zastanowił nad społeczno-wychowawczymi skutkami skokarzenia sklepu z piwem z sąsiedztwem szkoły podstawowej? Ale to nic. Jest nowy projekt: po zlikwidowaniu piekarni „Liliput” zrobić tam piwiarnię. Będzie jeszcze bliżej szkoły. O barze mlecznym dla uczącej się młodzieży — nikt nie pomyślał. Mieszkańcy aż trzęsą się ze zgrozy. Próbuje protestować u władz.

Ba! Piwo sprzedaje się nawet w sklepach sąsiadującym z poradnią przeciwalkoholową. O cudzie paradoksu!

„Gdzie jest piwo?” „Co się dzieje z piwem?” „Więcej piwa!” — oto tytuły publikacji prasowych, w których autorzy białają nad niedostatkami piwa. W czym imieniu?

A piwa rzeczywiście brakuje. Tylko 557 sklepów, 36 restauracji, 22 bary, 26 kawiarni, 47 kiosków (piwnych) i 40 innych punktów sprzedaży piwa otrzymuje w Łodzi zaledwie jedną trzecią kufła brudnej piany. W styczniu pociekło z browarów łódzkich 13 i pół tysiąca hektolitrow, w czerwcu niepełne 17,5 tys. Z importu — niecałe 300 hektolitrow.

— Gdybyśmy mogli zwiększyć

czterokrotnie produkcję — powiedział kierownik działu zbytu łódzkich zakładów piwowarskich — byłoby mało! Ileż my mamy interwencji, zarzutów!

☆☆

Pijemy dużo piwa? Przeciwnie — mało. Średnio 35 litrów rocznie na głowę, podczas gdy Czesi — 120, a Belgowie — 180. Tylko jak się tam pije, gdzie się pije i kto pije? Nigdzie w świecie nie ma czegoś tak obrzydliwego jak łódzkie kioski z piwem, z których toczy się brudna pianą dosłownie i w przenośni. Na tej fali płyną ludzkie męty z tzw. marginesu z rynsztokowymi manierami. Fala podmywa nawet stadiony i hale sportowe, rusztowania i konstrukcje nowych domów, przewala się przez poczekalnie kinowe i... szatnie restauracyjne. Nikt z prawdziwych amatorów piwa nie ma gdzie wypić szklanki tego napoju. Raz — brzydki się kufel, który obliźwany jest przez brudasów, dwa — nie będzie stać między pijakami, którzy chcą się „utrwalić”. I nikt nie pójdzie do piwiarni „Pod Kuflem” — oficjalnej meliny — że pozwolę ją sobie tak nazwać.

Jakie jest zdanie kierownictwa MO — instytucji, która przeciętnie 35 tys. razy w roku interweniuje w lokalach, przed lokalami („Kes” ma piękną kartotekę), kioskami, sklepami sprzedającymi piwo?

— Dopóki nie zapewnimy warunków kulturalnego picia piwa — walka z piwopijstwem i jego skutkami społecznymi będzie walką z wiatrakami — powiedział szef KD MO-Sródmiście — a brudy będą się kotłować po mieście. RN m. Łodzi podjęła w 1968 r. uchwałę (nr XXV/88/68), w której m. in. poleca Wydziałowi Przemysłu i Handlu podjąć niezwłoczne działania w kierunku wytypowania w 1969 r. co najmniej 25 pomieszczeń nadających się do urządzenia w nich piwiarni, dokonanie adaptacji, a poza tym opracować program rozwoju piwiarni do 1975 r. i budować w odpowiednich miejscach pawilony wolnostojące na piwiarnie. Równocześnie polecano likwidować sprzedaż piwa w kioskach i ograniczyć sprzedaż w sklepach spożywczych.

W ten sposób nastąpiłaby szybka likwidacja kiosków — plag miasta. Ale cóż. Uchwała pokwitowana została otwarciem jednej piwiarni „Pod Kuflem”. A już, już mieliśmy nadzieję — kontynuuje komendant KD MO — że ułatwi nam się pracę porządkowo-profilaktyczną. Prawdziwi smakosze piwa siedzieliby w piwiarniach tak jak np. w Niemczech, gdzie ostatnio byłem. Toż to przyjemność wejść do takiego lokalu-piwiarni, posiedzieć, wypić to piwo, popatrzeć na kontakty towarzyskie przy kufku, na ludzi, którzy część czasu wolnego od pracy spędzają w miły, kulturalny, relaksujący sposób przy piwie. A u nas, ech, szkoda mówić!

Szkoda mówić. Siegnijmy do materiałów z sesji Rady Narodowej: „W wyniku skarg i interwencji mieszkańców zlikwidowano w I kwartale 1970 r. sprzedaż piwa w 5 kioskach ulicznych, w

bufecie kina „Stylowy” (sic! — dop. aut.), oraz w 9 sklepach — w tym 6 ogólnospożywczych i w 3 warzywno-owocowych). Z tych samych względów ograniczono sprzedaż piwa poprzez wyznaczenie określonych godzin w kiosku przy ul. Kilińskiego 24, w sklepach przy Piotrkowskiej 209 i Nowotki 91, w kawiarni „Jaś” i w barze „Beniaminek”.

— Ale sukces! Dużo to pomogło. Może jeszcze wywiesi się we wszystkich tego rodzaju sklepach i knajpach (jak to zrobiono w knajpie przy Nowomiejskiej przed jej remontem) zdobne afisze z napisem: „Naszą najważniejszą sprawą Polska Ludowa”.

☆☆

O miasto kochane! Weź się za porządek i dodaj do raportu o swej sytuacji — „podraport” o jednym z elementów zagrożenia porządku, ładu i bezpieczeństwa publicznego — wrzódzie piwopijstwa, którego jeżeli nie przetnie, nie zalepisz żadnym plasterkiem!

ZOFIA TARNOWSKA



A. Grun. Postać — grafika

nich wszedł dziś w konflikt z prawem. Nikt nie chce wynajmować im mieszkań, mają trudności z ulokowaniem dzieci w szkole, są sami wśród obcych.

Jest ich tutaj dużo. Podobno już powyżej 3 milionów.

Miałem możność choć przelotnie zetknąć się z tym problemem, który należy do wstydliwych stron życia w Bundesrepublik. Przybywają tutaj z Włoch, Turcji, Portugalii, ba — Wietnamu Południowego i Hongkongu. Przyjeżdżają tutaj z pewnym wizerunkiem kraju i ludzi, wśród których będą przez pewien czas żyć. Jak stwierdza Federalny Urząd Prasy, ankietę rozpisana podczas pierwszych dni pobytu wśród 1500 robotników z Włoch, Portugalii, Grecji i Turcji wykazała, że 80 proc. spośród tzw. „gastarbeiterów” mało wysokie mniemanie o porządku, czystości, higienie, dobrej organizacji pracy, no i oczywiście bardzo wysokiej stopie życiowej mieszkańców NRF. Ten sam Federal-

ny Urząd Prasy musiał w roku 1970 przyznać, że w miarę upływu czasu ten wizerunek zmienia się u robotników — gości i mają oni aż nazbyt krytyczny stosunek do wielu zjawisk występujących w Niemieckiej Republice Federalnej, a szczególnie do aury jaka otacza przybyszów, którzy tutaj przyjechali „za pracę”.

Przeciętna zachodniomiejska rodzina bardzo niechętnie patrzy na to, gdy córka lub siostra „chodzi” z przybyszem z Hiszpanii lub Włoch. To samo jest w przypadku takich stron życia jak choćby normalny towarzyski kontakt (asymilacja ze społeczeństwem, w którym przecież tutaj oni — owi przybysze z różnych krajów mają przez pewien czas żyć. Przeciętnej rodzinie włoskiej niezwykle trudno otrzymać mieszkanie „w dobrym” domu, nawet gdyby mogła przeznaczyć 250 DM na miesięczny czynsz. Trudno się dziwić, że w tych warunkach ludzie ci wędrują po barakach, są wyzyskiwani przez całego gangi zajmujące się wy-

najmem lokali, które tylko z trudem można nazwać mieszkalnymi. Trudno się dziwić, że ci właśnie przybysze bardzo często stanowią margines, ową „pianę” na powierzchni życia, że wchodzi w konflikt z prawem odrzuceni przez społeczeństwo wśród którego żyją. Są bowiem sami wśród obcych.

Hamburg jest jednym z punktów docelowych dla „strumyczka” tych, którzy po roku 1970 opuścili nasz kraj.

Nie byłem na tym przedmieściu, nie widziałem ich i dlatego nie chcę wyrażać swoich opinii. Posłuszę się natomiast odczuciami, które na łamach „Koelner Stadt Anzeiger” przekazał swoim czytelnikom zachodniomiejski reporter Ulrich Manz. Píše on: „Przybywający z Polski przyjmowani są w obozie zgodnie z regulaminem opracowanym w pierwszych powojennych latach. Regulamin ten przetrwał 20 lat, choć w tym czasie wiele się zmieniło. Przybywający otrzymują tak jak przed dwudziestoma

laty okrągłą sumę 100 marek. Oczywiście, cieszy ten prezent, ale każdy z nas wie — pisze Ulrich Manz — jak niewielka jest to przydzisiejszych cenach kwota i wie, że daleko z nią zająć nie można”.

Zachodniomiejski reporter zajmuje się dalej opisem perypeti jakiegoś przyjeżdżającego do NRF ci nowi „osiedleńcy”. Z przekąsem mówi o oświadczeniach niektórych przywódców tutejszych „Ziomkostw”, którzy na łamach swoich gazet pytają przybyszów: „Dlaczego przyjeżdżacie teraz, zdradziście Niemcy po wojnie i przez 20 lat mówiliście, że jesteście Polakami, a teraz przyjeżdżacie, by żyć na nasz koszt”. Inny reporter tego samego dziennika „Koelner Stadt Anzeiger” odwiedził obóz dla przesiedleńców mieszcących się w Massen. Redaktor Stoeker z „KSA” píše: „Mieszkańcy ludność nie chce przyjąć przesiedleńców jako „swoich”, izoluje się od nich. Najpoważniejszym problemem jest sprawa znalezienia

mieszkania i pracy. Gdzie znajdują najczęściej mieszkańcy? Poza miastami, w pobliżu osiedli dla bezdomnych. Kobieta, która zachodniomiejski dziennikarz zapytał o adres obozu przejściowego powiedział: „Myśli pan o obozie, gdzie mieszkają Polacy”? W zakładach pracy nazywają ich często „dreckigen” (niech nam Czytelnicy darują, ale nie przetłumaczmy tego słowa). Są izolowani, nikt się o tych ludzi nie troszczy i prawie nikt nie chce mieć z nimi do czynienia, a oferty przychodzą tylko wtedy, kiedy potrzebna jest tania siła robocza. Ojciec młodego człowieka, wykwalifikowanego ślusarza stwierdza: „Mój syn musi wykonywać tutaj najgorszą i najbrudniejszą robotę. Jesteśmy przecież „stamtąd”.

Są sami. Ale czy rzeczywiście wśród swoich? Ulice oblepione są kołoskowymi plakatami. Plachty papieru nawołują na kolejnych wiece, gdzie wystąpią liderzy rządowej opozycji. W Monachium, rozbebeszo-

nym przygotowaniami do olimpiady ma przemawiać sam „wielki” Strauss. Na uniwersytecie hamburskim grupy młodzieży głośno protestują przeciwko kampanii propagandowej człowieka, który będąc wydawcą szmatławca „Deutsche National Zeitung” mówi sam, że od niego na prawo jest już tylko „ścisna”. Młodzi ludzie z „Falken” pikietują przed salami, gdzie akurat odbywały się „Dni Polskie”, by w ten sposób zagrozić drogę brudom organizowanym przez bojówki neofaszystowskich milokosów w białych skarpetkach, skórzanych krótkich spodenkach z koalicjami przez piersi. Stary robotnik na budowie stadionu olimpijskiego z sympatią wita się z grupą polskich dziennikarzy, a senator Helmuth Kern, prezes Hamburskiej Izby Handlowej mówi, że trzeba przerwać mosty gdyż to jest droga do wzajemnego ułożenia stosunków, że czas działa dla tych, którzy tak właśnie myślą.

KRZYSZTOF POGORZELEC



ANTONI KASPROWICZ

## Niezwykłe spotkanie

— Kiedy wreszcie wstaniesz z tego gniazła? — dopytywała polowica, spoglądając na mnie z wyrzutem.

Od czasu emerytury rozkwasiłem się, pogarbiłem i oprócz kółka i gazetki cały świat nie cię nie obchodzi. Wróble świergocą, kwiaty na akacjach, słońce jak byk, a ty nie, tylko parujesz pod koldrą jak baba.

Wczoraj ogłosili w „Expressie”, że w „Uniwersalu” można kupić przecenione buty i sandały od osiemdziesięciu złotych, a ty lażysz jeszcze w zimowych kapciach. Wstałbyś więc lepiej i poszedł do tego Pedetu.

— Wstać, to wstać i przejechać się mogę, ale skąd forszę dlać, moja ty kwoczko?

— Ja, to nie ty, co to szast, prast i hulaj babulu. Ja codziennie po kryjomu złocisz do swego pudełeczka, by w razie czego... co nie daj Boże... nie pętać sąsiadów, rozumiesz? — kwakała znikając w kuchni, skąd po chwili wróciła wyliczając mi na koldrze dziewięćdziesiąt pojedynczych złotych w bilonie.

Z wielkim trudem zgarnąłem z koldry ciężki metal i wygramoliłem się z łóżka, a dzień był naprawdę słoneczny i rozewierkany. Wciągnąłem portki, wskoczyłem w zimowe kapcie, które nieraz wypominała mi żona i dawaj do tego „Uniwersalu”, po przecenione sandały. Po dwudziestu minutach wyładowałem z „czwórki” na placu Niepodległości, na wprost Lunaparku i Pedetu, przed którym zaparkowano dziesiątki samochodów.

Wyładowałem, stanąłem, patrzę, rozglądam się i naraz — kogo ja widzę? Przecież to Franek Pluciennik z babą i wyskrobkiem!

Podchodzę więc i pytam: — poznajesz?

— Kto by tej mordy nie poznał! — on na to, i uradowany potrzącha mi łapą jak szufłą. — To Damian Floreczak — zwrócił się do żony, którą buchnąłem w brudną dłoń, głaszcząc jednocześnie lewą ręką rozbeczanego smarkacza po czuprynie.

— Byliście w wnućkiem na huśtawkach i karuzeli, ale Heniusiowi wszystko za mało i beczy. Myśli gówniarz, że na banknotach leżymy, uważasz?...

— Nie smarkaj się — powiedziałem do chłopca, wciskając mu w łapę dyche, którą chwycił łapczywie, obejrzał i pociągając babcię w stronę grzmiącego głośnika Lunaparku, bąknął w moją stronę: — dziękuję ci, pijoku i znikł z Pluciennikową w tłumie.

— Chodźmy na ławkę, pogadamy — zaproponował Pluciennik. Babcią z łobuzem pojadą tramwajem do domu. Uparte toto, rozpieszczone toto i tańcuje ojcu po głowie. Wczoraj, gdy syn chciał go wygrzmocić, zagroził: — Uderz mnie stary tylko, a nowe spodnie porznię ci żyłką na szmaty, zobaczysz! No i co z takim?

A kiedy siedliśmy na jednej z pustych ławek zwróciłem się do Pluciennika:

Dwadzieścia lat przeleciało jak wyprowadzali mnie pod widelcem z chaty. Stałeś wtedy przed drewniakiem z gromadką sąsiadów — pamiętasz?

Od tego czasu przeżyło się nie mało: bombardowanie pociągu konwojowanego do Berezy Kartuskiej, ucieczka z pociągu przez płonące miasto i wsie w stronę Bugu, niewola szwabska, roboty przymusowe w Prusach, wreszcie ucieczka do Litewskiej SRR i dopiero po roku powrót do rodzinnego miasta... A co u ciebie, Franuś, w tym socjalizmie, co? Bo

ja na emeryturze uważasz, na emeryturce...

— Budować, tośmy Damian na-budowali do jasnej cholery, nie powiem. Kuraki, Dąbrowa, Teofilów — to prawie miasta. Wybudowaliśmy nowe fabryki, szkoły i szpitale — to prawda. Wybudowaliśmy olbrzymią halę sportową i gmach opery dla robotników, w którym na scenie gą się i mdleją jakieś półnagie królowe, księżniczki i hrabiny, które zamiast mówić — piszcą pod muzykę, że słowa z tego nie zrozumiesz — to też prawda, bo oglądałem za bilety rady zakładowej.

Ze nie ma dziś głodnych, bezrobotnych, że nie ma bezdomnych — i to też prawda, powiadam ci Damian, tylko to żarcie za drogie i renta za krótka i ten cholerny reumatyzm, uważasz...

A w czasie okupacji, musisz wiedzieć, kiedy gestapowcy przyszli po mnie w nocy do domu, to oknem z drugiego piętra zjecha-

łem po sznurze od bielizny na podwórko, z którego przez ogrodzenia i płoty wyrwałem się na boczną ulicę i poza miasto w stronę Tuszyń, gdzie na wsi u krewnych, w wilgotnej i ciemnej piwnicy, przeplincowałem prawie dwa lata. I stąd ten reumatyzm, uważasz. Przecież widzisz jak chodzę i dycham. To w dzień bracie jeszcze jako tako, ale w nocy jak zacznie rwać ciało — to szkoda gadać... Ale prawdę mówiąc Damian — dodał po chwili — to dzisiejsze spotkanie warto by oblać, tylko u mnie w kieszeni cztery złocisz, uważasz. I co ty na to?

Popatrzyłem na swoje ciężkie, zimowe kapcie, wspomniałem na przewiewne przecenione sandały, po czym westchnąwszy wyliczyłem Pluciennikowi czterdzieści pojedynczych złotych i powiedziałem: — Skocz po ćwiartkę i zagrychę, a ja tu zaczekam.

— Skoczyć to mogę, czemu nie, Damian, ale zanim wrócę na tych giczołach, to będzie wieczór, — żalił się, zwracając mi forszę.

— Jasne, jasne — odpałem i poturlałem się do pobliskiego delikatesu.

Za ćwiartkę, dwie bulki i dwa serki edamskie wybuliłem prawie czterdzieści złotych, więc jak obolały usiadłem na ławce obok Franka, który na rozwiniętej chusteczce do nosa rozcierał palcem serek na bułkach i odbijał ćwiartkę.

Wypiliśmy od razu pod paznokcie, po połowie butelki i zaczęliśmy zakasać:

— Znaczą się Franuś — zapytałem — że dalej siedzisz w przedwojennym drewniak na Włókienniczej, co?

— O, teraz bracie nie poznabys Włókienniczej, o, nie! — objaśniał uradowany Pluciennik, gestykulując rękami. — Wszędzie bracie elektryczność, na ulicy asfalt, autobusy. W niektórych domach i oficynach kanalizacja, puszkę na śmieci, poszerzone podwórko, piaskownice dla dzieci, a

na bocznych ulicach nowe domy i sklepy. Jednym słowem nie to co przed wojną... Tylko ta renta za krótka i żywność za droga, powiadam ci Damian...

— A jak tam dawni sąsiedzi? — zapytałem. — No, taki Taran, powiedziałem.

— Spalony w Radogoszczu!...

— A Ośka?

— Sprasowany w kamieniołomach w Mauthausen!...

— A Kuźmirek?

— Zakatowany w łódzkim gestapo za sabotaż w warsztatach samochodowych...

— Co ty mówisz, co ty mówisz? — bladolilem zatroskany i zbolaly, rozkruszając bezwiednie wróblom nie dojeżdżoną bułkę.

— A Skórkiewiczów, pamiętasz jeszcze Damian? — zapytał ocknięty z zadumy Pluciennik.

— To dziadki żyją jeszcze?

— No żyją, na emeryturze. Gdy kilka lat temu wydali Wacę za mąż, była chryja, niech nie żyje! Bo po ślubie cywilnym uważasz, stara Skórkiewiczowa zatruwała im stale święty spokój małżeń-ski, że niby żyją nie po chrześcijańsku, bo bez ślubu kościelnego. Bładolila, kwękała, jęczała, błagała, aż wreszcie zięć zgodził się pod warunkiem, że teściowa wyprowadzi się do sąsiadów i gości weselnych.

No więc zgodzili się, dali na zapowiedzi, i w dzień naznaczonego ślubu wyjechali taksówkami z umówionymi świadkami w stronę kościoła, objechali świątynię kilka razy dookoła i z wielkim hukiem wprost od fotografa powrócili do domu. Grała orkiestra, śpiewali weselnicy, były oczepiny, gorzka kawa i popiocha nie z tej ziemi. Jednym słowem co było, to było, tylko ślubu nie było.

Uśmialiśmy się z Frankiem z tej hecy do zatrąsienia.

— A co ze starym Bieńkiem? — słuchaj-no — dopytywałem dalej, ciekawcy życia dawnych domowników.

— Z Bieńkiem? Nie żyje! To-to-Lotek go wykończył.

— Jak to?

— Bo jak wygrał te trzydzieści tysięcy, to chlął od rana do wieczora. Rzucił robotę, poszedł do kochanki. Żonie tylko kupił dywan, który jednak musiał obiecać bo był za długi i pod żelazną kanonką związał się w rolkę. A gdy brakło forsy i błąd go wykopsnęła, zaczął chląć „krzyżówkę” i trzasnął kopytami. Dobrze, że chłopak jego ukonczył Technikum Włókiennicze i pomaga matce.

Siedzieliśmy na ławce, gawędząc o dawnych sąsiadach z drewniaka i dwóch oficyn, a po drugiej stronie placu huczały jeszcze głośniki, kręciły się karuzele, kołysały huśtawki, tłumy ludzi kroczyły przez ulicę, ćwierkały wróble, pachniały rabaty i słoneczko przygrzewało nam w plecy.

Pewnie nie przypominasz już sobie Baranka — wyrwał się Franek, ocierając spoconą twarz rękawem.

— Tego, który hodował króle i witał się lewą ręką?

— Jak z metryki.

— A co z nim?

— Majster tkacki w fabryce.

Pyskował przez rok jak z ambony i wreszcie z rady zakładowej otrzymał w blokach nowe mieszkanie. Dwa pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka, jednym słowem życie, nie umierać. Ciężarówka przewieźła mu graty na Kurak. Wszyscy mu zazdrościli. Ale gdzież tam! Nie pękło jeszcze sześciu tygodni, a tu na podwórku wtacza się dwukonna rolwaga z gratami Baranka. Z powrotem zajął w drewniak wolne jeszcze mieszkanie, przeformalowane dyktą ze szklanym okienkiem i tyle.

— Bloki — nie dla starego webra — powiadał. — Ani podwórka, ani komórki ani żadnej swobody. Z balkonu tylko możesz pluć na ulicę. A gołębia i królika nie uhodujesz za Boga. A zakłniesz głośniej, lub zatańczysz po pół basie, już komitet na głowie: że dzieci, że szyby, że sufity, że randol... Jak w celi więziennej, ba, gorzej, bo ani z kim potrajlować, kielicha przeplić i w oczko zagrać. To nie to co tu na starych śmieciach. Tam ludzie jak chcą się pokochać, to muszą radia i tranzystory nastawiać, by sąsiad nie słyszał przez ścianę — powiadał.

— Baranek miał rację, Franuś — przytaknąłem po chwili milczenia. — Bo w tych blokach jak na parterze zakłniesz — to na trzecim piętrze słychać. I ja bym nie postąpił inaczej!

— A co z Pinterą, Franuś? Za-

pomniałeś pewnie o Pinterze, o naszym podwórzowym mistrzu fryzjerskim, co? — zapytałem.

— Pintera, no co? Pintera... chodzi o kłycę, bo chorował na Burgera i obeiachali mu giczoł po same kolano. Za to jego córka Gosia wyręczyła się w zetemście na wielką sekretarkę i kręci dupciuchną, że hej!

— A małego Leosia Sobczaka przypominasz sobie Damian? — wyrwał nagle Pluciennik, zapalając sporta.

— Tego smarkacza?

— I syna Małolepszego?

— Przypominam.

— No, to oni bracie — już teraz byki żonate — mieszkają w jednym korytarzu w prawej oficynie, drzwi przez drzwi. Obaj pracują u Dzierżyńskiego na jednej zmianie i obaj po pracy zagrywają u siebie co wieczór w warcaby. Znaczą się: jeden dzień u Sobczaka, drugi u Małolepszego. Zagrywają, ale nie chleją; chyba na uroczystości — wolno myśliciele — uważasz... Ale nie w tym rzecz... — tłumaczył, zapalając nowego papierosa — Chodzi o to, że żonie Sobczaka Teresa i żonie Małolepszego Teresa — więc jak dwa lata temu obwołali imienniny swoich połowic, to się po kiernowemu, pozamieniali na noc kobietami i do dziś żyją sobie na kocią łapę. Znaczą się — żona Sobczaka z Małolepszym, a żona Małolepszego z Sobczakiem. I co ty na to Damian?

— Niech skomam Franuś! — zawolałem — ale tylko tyle ci powiem, że któregoś dnia obokoczę starych domowników, lecz najpierw będę u ciebie i niech cię nie znam, jak nie dziurgnęmy sobie wtedy po kielichu. Pamiętaj!

— Przyjdź Damian, przyjdź — zapraszał Pluciennik. — Przyjdź, to zobaczysz, jak się nam wszystko zmieniło. To nie to co przed wojną!

W mieszkaniach radia, telewizory. Na podwórku dwa motocykle, a każdy najedzony i ubrany jak się patrzy... To już nie to co przed wojną, Damian. To już nie to!...

Tylko jak przyjdiesz Damian, to pamiętaj, byś nie wstał przy-padkiem do Zarembów. No, do tych, co mieszkają w drewniak na parterze z oknami na wprost studni.

— To oni żyją jeszcze?

— No żyją. Oboje po siedemdziesiątce. Żyją i płaczą w żalobie po synie milicjancie, który jesienią utonął w Warcie ratując powodzian pod Przysrami. Synowa list przysłała z Konina, gdzie po ślubie razem zamieszkali, bo ona stamtąd, uważasz... Więc jak przyjdiesz, to nie włącz do Zarembów, uważasz, bo zaczął znów ubolewać i popłakiwać. Idzie przygarbiona Zarembina do sklepu — płacze, drepcze do studni po wodę — płacze, turła się do kościółka — płacze, odpowiada sąsiadkę — płacze i opowiada, jak to jej syn był zdolny, przystojny i odważny i znów zalewa się łzami, aż serce człowiekowi ścisła się z żalu. Więc w razie czego nie włącz im w oczy Damian... A myślę, że niezadługo zapukasz do mojej chaty, co? — dopytywał Pluciennik, podrywając się z ławki z wyciągniętą łapą na pożegnanie.

— Przyjdę, odwiedzę na pewno — obiecywałem, pokrząjąc jego ręką. — Napyskaliśmy się przecież dzisiaj, że na okrągły miesiąc wystarczy. A więc bądź zdrow i szoruj do chaty, bo babka z wnućkiem na pewno oczekują cię w domu. Potrząsaliśmy, potrząsaliśmy łapami przy ławce nie mogąc się jakoś rozstać, aż wreszcie ucałowaliśmy się jak rodzeni bracia i ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

Popatrzyłem za Pluciennikiem, odchodzącym na przelaj przez plac i zastanowiłem się: dlaczego na zreumatyzowanych kuldach szura pieszko do domu, zamiast jechać tramwajem. Ale przypomniałem sobie jak często narzekał: że „żarcie drogie i renta za krótka”...

Takie to było moje spotkanie z Frankiem Pluciennikiem na placu Niepodległości. Było to w czerwcu, a dziś choć mija sierpień, moja stara dzień w dzień, od samego rana, tak od samego rana, a nawet w południe, co ja mówię w południe i zmierzchem i wieczorem, a od czasu do czasu to i nawet nocą n/c, tylko w kółeczko: — „Przepiłeś sandały, przepiłeś sandały...”

Z tomu pt. „Nie rzucił ziemi...” złożonym w Wydawnictwie Łódzkim.

PAWEŁ WASILIEW

## Być mistrzem

Cenię swą umiejętność, zatekniwszy do trudnych prac, chcę powstrzymać wietrze marmurowych brył, odlewać z brązu żrebec o chrapach jak róże, i byki, których strome żebra tają oddech.

Ciężkie powieki kamiennych kobiet nie dają mi spokoju, usta tych kobiet są tak milczące, zamysłone, nie powiedzą, daj mi, o, życie, jak najwięcej takich cierpień — zaspokożenia nie chcę, daj mi żarliwość i sprawność w tej misternej robocie.

Widzę: — dziewczyna spoczywa w długiej szacie, na łoku wsparta. Dawca snów ciepłych i jasnych małą przestrzeń wokół niej pozostawił. Dziecko pochyla się nad nią z uśmiechem lekkim, skrzydlate. Daj mi, o, życie, tak mocno usypiać kamienne kobiety.

Przekład: WITOLD DĄBROWSKI

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

## Lato 71

Słońce coraz wyżej. Wzniosły upał. Pocałunki jak spirytus pała, co na jasną nicotę się spala. Zalotnych rytuał gestów...

My w las wchodzimy, mroczny i zaczarowany, las nie tylko drzewnych jestestw — bo znaczeń więcej niż rzeczy, że odkryć cię — to źródło znaleźć prareczy lub chaosowi nadać architekturę — — —

Więc jak wymówić ów sens tajemny, który głęboki jak śródleśny matecznik; przecież w słowie ciebie nie zmieszczę, a za mało by ręką nakreślić?

Już wiem — nicosć o ciebie więcej — a to po prostu jesteś.

lipiec 1971



Nowa książka Heleny Duninówny — „Na wieczór swego życia przyjdź z własną lampą” — w odróżnieniu od poprzednich tomów tej autorki — nie ma charakteru wyłącznie wspomnieniowego. Owszem, są tu i wspomnienia, ale nie one stanowią najobfitszą i najistotniejszą część książki, w której refleksja dominuje zdecydowanie nad opisem.

W tej nowej książce autorki „Ludzi i rzeczy” znajdziemy bowiem przede wszystkim i w obfitości uwagi, rozmyślenia, rozważania oraz luźne notatki, nagromadzone pod piórem autorki w ciągu ostatnich lat trzech (1968—1970), a ponadto — wielostronicowe dysertacje na temat starości i stoty ludzkiej i szlachetnego umiłowania książek.

Cały ten materiał (a zajmuje on z górą dwieście sześćdziesiąt stron druku) nie jest ułożony według jakiegś osi chronologicznej czy tematycznej. Autorka stosuje tym razem — znaną z praktyki psychoanalitycznej — metodę „wolnych skojarzeń” — to znaczy, że pe-

wien uświadomiony fakt, przeżycie, wzruszenie odgrywa rolę katalizatora, powodującego powstanie całego łańcucha skojarzeń o różnej treści i natężeniu. Oczywiście hierarchia ogniw takiego łańcucha i ich „ciężar gantkowy” nie są i nie mogą być identyczne dla samej autorki i dla odbiorcy — czytelnika. Zbliżenie tych dwóch postaw (większe lub mniejsze) jest już sprawą talentów pisarskich i zdolności swoistego „przekonywania”, a nie w każdym przypadku z konfrontacji z czytelnikiem wychodzą zwycięsko.

U Heleny Duninówny punktem wyjścia skojarzeń, o których mowa wyżej, są niezwykle często sny i półsny, jakiegoś nagłego przebudzenia i stany z pogranicza jawy. Trudno na tym miejscu dociekać przyczyn tej osobliwości, uczynić to mógłby raczej zawodowy psycholog. Ja mogę tylko stwierdzić, że z tych sennych i półsennych stanów płynie strumień aso-

stwa aż do „wieczoru” jej żywota. W tych retrospekcjach nie brak ciekawych, choć subiektywnie zabarwionych sylwetek spotkanych niegdyś ludzi, nie brak też osobistych poglądów autorki na twórczość literacką wybitnych niegdyś u nas kobiet, jak Maria Konopnicka, Eliza Orzeszkowa i Narcyza Żmichowska.

Na bogatą — choć trochę

pinie, refleksje i wnioski autorki, lecz również plan mini-ankiety, przeprowadzonej przez nią na ten temat wśród kilku osób obojga płci i różnych zawodów. Przytacza też autorka mnóstwo (może nawet zbyt wielkie) cytatów z najrozmaitszych źródeł o sprawach i problemach molestae senectutis.

Z tego całego materiału

takiego poczucia; 2) stopień dolegliwości cielesnych, właściwych wiekowi starczemu; i 3) sytuacja życiowa — ściśle mówiąc: materialna — człowieka o „wieczornej” porze żywota. Jedną z osób ankietowanych współzależność tych trzech czynników ujęła w słowa następujące: „Dobra starość — to zrównoważenie, pogoda ducha, mądrość życiowa, dużo wyro-

dalbym słowa, wypowiedziane niegdyś przez jednego z mędrców starożytności: „Największą mądrością człowieka jest umiejętność godzenia się z nieuniknionymi koniecznościami”. A należy właśnie do nich starość i — jej kres.

Książka Heleny Duninówny, świadcząca o chłonnej inteligencji i kulturze wewnętrznej autorki, nie jest jednak książką, którą czyta się „jednym tchem”. Przeciwnie, tę lekturę trzeba konsumować powoli i z namysłem. Ta książka nie daje okazji do tzw. kartkowania, mimo że są w niej pewne dłużyzny, zanurzone we mgłach nastrojowości i werbalizmu. Ale uważny i poważny czytelnik, który doczyta „Na wieczór swego życia”... do końca, z pewnością nie powie ani nie pomyśli, że stracił czas daremnie.

\*) Wydawnictwo Łódzkie. Str. 261, cena zł. 17.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## Wspomnienia — refleksje — wnioski

jakby nie uporządkowaną treść nowej książki Heleny Duninówny składa się m.in., jak zaznaczyłem na wstępie, obszerna rozprawa o starości. Te stronicy zawierają nie tylko osobiste myśli, o-

wylania się raczej zgodny wniosek, że stan psychiczny i fizyczny człowieka w wieku podeszłym określają w zasadzie trzy czynniki: 1) poczucie samotności i zębności, bądź też nieistnienie

zumiałości i niewyczerpany zasób dobroci. Ale, aby to osiągnąć, trzeba mieć względnie zdrowie i względnie dobre warunki życiowe... Do wszystkich tych przemysłów i rozważań do-

MAREK WAWRZKIEWICZ

## „Próżnia doskonała” Stanisława Lema

„PRÓZNIA DOSKONAŁA” jest dwudziestą siódmą książką Stanisława Lema. Oczywiście, liczenie pisarzowi książek nie ma większego sensu — można napisać jedną i wejść nią do historii literatury, można napisać dziesiątki i zostać po kilkunastu latach dokładnie zapomnianym. Ale w przypadku Lema operacja ta jest jednak celowa. Ołbrzymia ilość tomów, z których każdy niemal miał kilka wydań i przekładów na wiele obcych języków — jest jednym z dowodów na wyjątkowość tego pisarstwa.

Literatura fantastyczno-naukowa miała i ma wielkie rzesze wielbicieli, zawsze może liczyć na pokupność. Cała ta literatura jednak (lub prawie cała — jeśli weźmiemy pod uwagę nieliczne wyjątki) jest literaturą w pewnym sensie niewolniczą. Tak, niewolniczą wobec współczesności i jej prymitywnej w gruncie rzeczy automatyki. Jest to literatura, której ojcem jest Juliusz Verne, pisarstwo w gruncie rzeczy banalnie przygodowe, tyle że przygoda umieszczona jest w przestrzeniach kosmicznych, w wiekach przyszłych. Autorzy wymyślają świat nie wymyślonych jeszcze automatów, stwarzają nowe społeczeństwa, odkrywają nowe planety. Ale bohater tych książek jest człowiekiem współczesnym nam — czytelnikom, nowe warunki cywilizacyjne nie zmieniły jego psychiki ani trochę. Juliusz Verne podróżował na Księżyc, współcześni nasi autorzy fantastyki przy pomocy doskonalszych statków wywożą nas w przestrzenie międzygalaktyczne. Ale i w tej rakiecie siedzi ten sam zaufany w sobie i zaściankowy obywatel planety Ziemi.

Oryginalność, suwerenność i — nie waham się użyć tego określenia — wielkość pisarstwa Lema polega na tym, że potrafił on wyzwolić się spod tych szablonów. Lem nie opisuje kosmicznych światów i podróży do nich, a przynajmniej nie to stanowi ośnowę jego książek. Lem umieszczając człowieka w nowych warunkach, bada wpływ i implikacje stąd wynikające, zajmuje się

jego psychiką, doświadcza jego męstwo, siłę moralną, próbuje jego — po prostu mówiąc — człowieczeństwo. I tym tłumacząc sobie np. fakt, że jest on ulubionym autorem kosmonautów. Książki Lema biją rekordy wielonakładowości. Następstwem popularności „Obłoku Magellana”, „Dzienników gwiazdowych” czy „Powrotu z gwiazd” stał się fakt, że nawet trudne, filozoficzne książki takie jak „Summa technologiae”, „Filozofia przypadku” oraz „Fantastyka i futurologia” rozeszły się szybko w dużych nakładach.

Ostatnią książką „Próżnia doskonała” sprawił Lem swoim wielbicielom kolejną, podwójną tym razem niespodziankę. Kupujemy ją — bo kupujemy Lema w ogóle, zaglądamy — przykra niespodzianka. Ani powieść, ani opowiadania. Szkice literackie, krytyki. Zniechęcamy się, ale zaczynamy czytać — bo w ogóle czytamy Lema. I okazuje się, że mamy tu do czynienia z bardzo wyrafinowaną i znakomitą zabawą. „Próżnia doskonała” jest bowiem zbiorem recenzji literackich. Tyle, że są to recenzje z książek nigdy nie napisanych, przez autorów nie istniejących. Żeby zabawa była pełna — Lem otwiera swoją książkę szkicem... o niej właśnie. 14 pozostałych szkiców — poza akcentami krytycznymi (Lem pozwala sobie na krytykę tych nie istniejących książek) — to 14 szkiców do 14 powieści, 14 pasjonujących fabuł, z których można zrobić równie pasjonujące książki.

Jest w tych omówieniach, streszczeniach wszystko, czego potrzeba, aby powieść napisać: rys warunków społeczno-historycznych, portrety bohaterów, intryga, fabuła. Pasjonując się lekturą nie mogłem oprzeć się przykre-mu wrażeniu — że książka ta jest świadectwem pisarskiej kłębki lub raczej kapitulacji: autor przyznaje się, że jego możliwości przegrywają z jego niepojętą wyobraźnią, sprzedaje więc pomysły tanim kosztem. Teraz, pisząc to słowo myślę inaczej — może nie jest to klęska? Może jest to właśnie zwycięstwo? Cóż bowiem w pisarstwie może być ważniejszego właśnie od wyobraźni? I zadając to retoryczne pytanie chyba mam prawo na podstawie dotychczasowych lektur Lema sądzić, że ta wyprzedaż wyobraźni w niczym nie przeszkodzi dalszemu pisarstwu tego autora, że jest w gruncie rzeczy tylko i wyłącznie wyprzedaż nadmiaru pomysłów.

Choć nie mogę się oprzeć uczuciu żalu, że nie zobaczę powieści „Sexplosion”, że nie przeczytam 600-stronicowej powieści „Gruppenfuehrer Louis XVI”, czy też powieści „Ty”.

Ale może w ten sposób „Próżnia doskonała” właśnie Stanisław Lem zastrzegł sobie po prostu wyłączenie pewnych pomysłów, opatentował je: przed dalszą obróbką i wykorzystaniem? Miejmy nadzieję.



A. GRUN. „Ziemia jałowa”, (grafika)

## Przeszłość i teraźniejszość

Eksploracja pamiętnikarstwa, jaka nastąpiła w ostatnich latach w naszym piśmiennictwie byłaby wcale interesującym tematem dla rozważań socjologiczno-historyczno-literackich. Jest w naszym społeczeństwie bardzo wiele osób, których życie ułożyło się odmiennie od bezbarwnej przeciętności, którzy byli uczestnikami bądź świadkami spraw ważnych nie tylko wówczas dla nich samych, lecz również teraz dla innych, dla tych wszystkich, którzy są potencjalnymi czytelnikami utrwalonych w pamiętniku wspomnień. Sprawy to w jakiejś mierze nasze dzieje, które dostarczą w ciągu ostatniego zwłaszcza półwiecza nadmiaru przeżyć nadmiernie wielkiej liczbie Polaków. Ale jest to również sprawa naszej współczesności. W dobie przyspieszenia rytmu życia społecznego i osobistego, ustawicznego gonienia za uciekającym czasem w epoce komputerów,

podboju kosmosu i kultury masowej, człowiek współczesny poszukuje wokół siebie przede wszystkim konkretów. Pragnie bowiem zwłaszcza wiedzieć, broni się przed zagubieniem w powodzi sprzecznych informacji, jakie nacierają nań ze wszystkich dawnych i nowych „środków przekazu” stara się wyzwolić spod ciśnienia obiegowych stereotypów, którym nie sposób nie ulegać. Może dlatego w epoce, kiedy propaganda rozwinęła się do nieznanych nigdy rozmiarów, tak usilnie broni się przed tym, by nie oddać jej całkowicie kształtowania swego sposobu myślenia i odczuwania. Nieczęsto ma czas na czytanie tasemcowych lektur literackich czy naukowych, szuka literatury faktu, zwartej, konkretnej informacji, ujętej w jasną, a także zwięzłą formę. Na inną po prostu nie ma czasu.

Wszystko to jednak nie tłumaczy nam jeszcze zjawie-

ska szerokiego ruchu pamiętnikarskiego jako rozwinięcia się w naszym kraju, ani wydawniczych oraz czytelnich karier literatury wspomnieniowej, która za sprawą naszych edytorów trafia do rąk czytelnika. Pamiętnikarstwo ma zapewne

ceństwa, z tym, że Polakowi tak bardzo zapadły w umysł i serce własne dzieje, z nasyceniem naszego światopoglądu naszą własną historią, tym więc, co się dziś tak bardzo nie podoba niektórym programowym nowatorom, głoszącym potrzebę

potrzeb chwili, głoszące prawdy wielce wątpliwe podręczniki szkolne? Czyż trzeba się potem dziwić, że nauka historyczna musi ciężko pracować, aby odzyskać kredyt zaufania społecznego, tak mocno nadwerżony w tamtych latach?

Preferowanie pamiętników nad historię, do której ma się zawsze jakieś zastrzeżenie zwłaszcza, gdy dotyczy ona czasów, o których nie jest jedynym źródłem wiadomości, nie jest sprawą tylko naszej epoki. „W historii lubię tylko anegdoty, a najbardziej te, z których mogę odtworzyć wierny obraz obyczajów i charakterów danej epoki — pisał Prosper Merimee. — Nie jest to upodobanie szlachetne; ale wyznam, że wstydem, że chętnie oddałbym Tucydidesa za autentyczne pamiętniki Aspazji lub niewolnika Peryklesa, tylko pamiętniki bowiem, te poufale rozmowy autora z czytelnikiem, dają portrety człowieka, które mnie bawią i interesują”. „Portrety człowieka, portrety zdarzeń widzianych jego oczyma, mające piętno jego indywidual-

ności, nie pretendując do wyjaśnienia wszechświata, oto co czytelnik odnajduje w pamiętniku. Złożony i akceptowany subiektywizm relacji daje mu możliwość identyfikowania się z narratorem, dyskusowania z nim jak równy z równym, ba, czasem z pozycji silniejszego, zbrojnego w doświadczenia i przeżycia innych, używane na drodze innych lektur. Daje mu możliwość samodzielnego, w jego przekonaniu, dociekania prawdy o przeszłości, wyrobienia sobie własnego sądu o wydarzeniach, których inni byli świadkami, on zaś zdaje się być sędzią. Najczęściej nie zdaje sobie sprawy, jak dalece to jego odczucia są zwodnicze, nie zastanawia się nad zasadami krytyki źródeł pamiętnikarskich, wypracowanymi przez naukę historyczną, a zresztą dla czego miałby się zastanawiać?

Zamierzam zdać dziś sprawę z kilku pamiętników dotyczących II wojny światowej. Uczynię to przy innej okazji.

JOZEF GRZELAK

## Pamiętniki

wiele wspólnego z literaturą faktu, ale przecież jego istotą jest przede wszystkim to, że jest indywidualnym zapisem czyichś konkretnych przeżyć i doznań, jest relacją o czymś, co się kiedyś, gdzieś działo. I to ostatnie — relacja o przeszłości — stanowi o zainteresowaniu, z jakim spotyka się wśród czytelników tego rodzaju piśmiennictwo. Fenomen eksploracji pamiętnikarstwa i jego poczynności wiąże się więc najściślej z historyczną świadomością naszego spo-

oświecenia, z tym, że Polakowi tak bardzo zapadły w umysł i serce własne dzieje, z nasyceniem naszego światopoglądu naszą własną historią, tym więc, co się dziś tak bardzo nie podoba niektórym programowym nowatorom, głoszącym potrzebę



**S**TRASZLIWA klęska pożaru jaka nawiedziła Spicimierz na wiosnę tego roku spowodowała bardzo duże zainteresowanie losem pogorzalców. Szybko pośpieszono im z pomocą. Sam byłem świadkiem, jak na trzeci dzień po pożarze młodzież szkolna z Podgębic przywiozła mieszkańcom wioski zebraną naprędce odzież. Nie były to może ciuchy komiso-we, ale przydały się ludziom, którym cały dobytek spłonął w ogniu. Z realną pomocą przyszli także architekci. W czynie społecznym opracowali nowy plan zabudowy wsi. Do odbudowy zgłosili się studenci, junacy, młodzież ze szkół zawodowych. Ze skuteczną pomocą pospieszyły władze powiatowe. Zorganizowano nawet Społeczny Komitet Odbudowy Spicimierza.

Jednym słowem do usuwania skutków pożogi przystąpiono w atmosferze pełnej i wszechstronnej życzliwości, uprzywilejowania i serdecznej troski całego społeczeństwa. Co prawda nawet najlepszy klimat moralny nie zastąpi materiałów budowlanych, lecz swoją, choć może niewymierną, wartość ma. Zresztą chyba właśnie dzięki temu materiały te szybko się znalazły.

Odbudowie Spicimierza warto się jednak przyjrzeć bliżej nie tylko ze względów humanitarnych. W tym roku, roku suchym i upalnym spłonęło w Polsce już parę tysięcy podobnych chałup. One też będą musiały być odbudowane. Spicimierz potraktujemy więc jako ilustrację działania mechanizmu odbudowy pogorzelskich, eliminując oczywiście wszelkie przeszkody biurokratyczne jako że „inwestycja spicimierska” ma niejako charakter priorytetowy. Trochę trudno to tylko pogodzić z obrazem jaki tam zastałem podczas ostatniej bytności w drugiej połowie sierpnia. Zastałem zaś Spicimierz cały rozbabrany, chłopów natomiast zniecierpliwionych żółtym tempem pracy junackich hufców, które samorzutnie zadeklarowały pomoc w odbudowie. Cóż, od momentu pamiętnej soboty, 24 kwietnia minęły 4 miesiące, zbliżają się jesienne chłody, deszcze i szarugi, a mimo pełnej mobilizacji sił i środków i ofiarnej pomocy całego społeczeństwa oraz władz wszystkich szczebli, stoi we wsi zaledwie jeden budynek pod dachem. Należy on do dyspozytora kółka rolniczego. Co ciekawe, przygotowania do budowy tego domu właściciel rozpoczął jeszcze przed pożarem.

Reszta miejscowych, przewidujących chłopów zakupiła cement, wapno, cegły, deski, słowem wszystko co należy i przyczaiła się, obserwując bacznie niecierpliwych „kółkowców”, którzy podpisali umowy z Ochotniczym Hufcem Pracy. Patrzają, spoglądają, zerkają, a u sąsiadów coś kłopsko praca wrze.

Pierwsi pojawili się we wsi na początku lipca studenci z Politechniki Łódzkiej. Nie można złego słowa powiedzieć, grzeczni chłopcy, uprzejmi, delikatni, lecz po całorocznej mordędzie upychania wiedzy we własnej głowie, zakończony z wyściskiem finałem sesji egzaminacyjnej skoczyli chętniej do odpoczynku niż do pracy, do relaksu niż do mola. Zaczęli od fundamentów, oczywiście od kopania fundamentów, a tu pięknie, tegoroczne słonko przygrzało i raczej plaża im w głowie, opalanie, a nie żmudne i nudne machanie łopata. Nic dziwnego, zwłoteza-

łe mięśnie szybko się męczą. Do końca miesiąca przetrwali tylko ci, co przyjechali w ramach praktyk wakacyjnych, większość ochotników się wykruszyła. Paru obrotniejszych młodzieńców zerwało z OHP i prywatnie poszli robić. Prywatnie zarabiają 15 zł na godzinę plus całodienne wyżywienie, OHP płaci tylko 5,20 zł za godzinę i odciąga 30 zł dziennie za utrzymanie.

Rozmawiałem z junakami, którzy przyjechali do Spicimierza 11 sierpnia. Grupa liczyła początkowo 12 osób, po trzech dniach o połowę stopniała. Ci co pozostali kierują się dewizą: „jaka płaca, taka praca”. Pracują u Antoniego Jaśkiewicza. To jedyny gospodarz, który wyraża się o ju-

czarnych myśli, natomiast szefowi junaków samopoczucie dopisuje i twierdzi, że byle do września. Wtedy przyjadą do Spicimierza uczniowie łódzkich szkół budowlanych to pokażą co potrafią. Wszystkiemu zaś chłopcy winni, bo w umowie stoi jak byk, że OHP daje tylko niewykwalifikowaną siłę roboczą, a każdy gospodarz zobowiązany jest wynająć prywatnie majstra, pod którego kierunkiem energiczni junacy powinni tylko cegły podawać i wapno lasować. Ponadto jest granda, ponieważ kiedy junacy odwalili kawał czarnej roboty, chłopcy z nich teraz rezygnują i wynajmują prywatnych majstrów. No i w ogóle sprawa jest polityczna i żebym się lepiej przed opublikowa-

sa zjeżdża, ruch wielki, nawet bimbru ugotować nie można. Owszem, podziękowanie piękne należy się PZU, obesli się z nami galancie”.

„Przyznaję, że jest to pierwszy komplement, jaki usłyszałem w swej praktyce dziennikarskiej pod adresem PZU”.

Parę słów na temat owych zebrzań. Otóż, architekci w nowym planie wsi zaprojektowali wyprostowanie krętych ścieżek Spicimierza. Wioska ta jest jak labirynt, do każdej zagrody prowadzi oddzielna droga, o czym zresztą najlepiej przekonali się strażacy w czasie wielkiego pożaru. Wjechać tu łatwo lecz wydostać się stąd nie sposób.

Poza tym istnieje we wsi od wieków wspólnota ziemi, i prawo własności regulowane dotychczas w Spicimierzu w sposób zwyczajowy. Władze powiatowe postanowiły te kwestie jakoś rozwikłać, wyznaczyć nowe działki pod zabudowę. Pojawili się na tym tle swary i powszechne niezadowolenie. Za dnia geometrzy wymierzali nowe place, wyznaczali działki, nocą chłopcy wyrwali kolki i przenosili w nowe miejsca, regulowali rzecz po swojemu, po starodawnemu. Zabawa w kotka i myszkę trwała przez parę tygodni. Obecnie sytuacja została nieco załagodzona, ale nie dajmy się zwieść pozorom, niejeden gospodarz nosi w sercu smutek i żal, jeśli nie coś więcej, co się ewentualnie w przyszłości, przy łada okazji wyzwoli w czasie dobrosąsiedzkiej u-tarczki.

Odrębny rozdział stanowi nasza prasa kochana. Naprawdę bardzo cenię, szanuję i podziwiam moich kolegów po piórze, lecz to co oni dotychczas wypisują o tej wiosce jest mówiąc delikatnie nieporozumieniem. Chłopi to czytają i śmieją się. A jak się już dobrze pośmieją, to ich złość bierze. Akurat w dniu, w którym byłem obecny w Spicimierzu, ukazał się w jednej z gazet artykuł, gdzie było napisane: „Mieszkańcy nie mają słów uznania dla sprawnej pracy młodych ludzi. Andrzej Zaręba stwierdza, że bez ich pomocy, mimo otrzymanych kredytów na odbudowę domu, niepodobna mogłoby własnymi siłami postawić nowy budynek”.

Andrzej Zaręba czytał przy mnie te słowa, a co powiedział, przemilczę. Dodam tylko, że najchętniej zrezygnowałby z pracy dzielnych hufców i poszukuje już nowych robotników.

Artykuł ukazał się w momencie, gdy rozgoryczeni chłopcy coraz bardziej podejrzliwie i spode łba spoglądają na junaków partolących robotę. Zresztą chłopcy nie mają nawet do tej młodzieży większych pretensji, mają żal do organizatorów całej akcji. Uważają, że przez nich odbudowa wsi się opóźniła. Tymczasem mieli ją oni przecie przyspieszyć.

Dawno nie spotkałem takiej rozbieżności między szlachetnością intencji ludzkich, a skutkami.

Zresztą mimo najlepszych chęci tych miłych chłopców z OHP, przy sprzeczności jakich otrzymali to i tak właściwie dużo zrobili. Ten sprzęt bowiem zamiast wywieźć na złom przysłano w ramach społecznej pomocy do Spicimierza. Po co? Żeby się chyba wykazać przed czynnikami? Fikcja tu nikomu niepotrzebna — potrzebne są nowe budynki ponieważ zbliża się zima i ludzie muszą gdzieś zamieszkać. Oczywiście mam na myśli fikcję i w pisaniu i w robocie.

KAROL BADZIAK

## Zima zbliża się do Spicimierza

nakach życzliwie, przychylnie, nie dziwiąc się zbytnio, że pracują słabo.

— Panie, jaka płaca taka praca — stwierdził i on, wykazując, jak widać pełną zbieżność poglądów z młodzieżą. Słabe to i nieprzywykłe do takiej roboty jaka tu u nas na wsi panuje od wschodu do zachodu słońca.

Większość gospodarzy w Spicimierzu niechętna jest „majowym robotnikom”. Gospodynie mają im za złe, że kury we wsi giną, gospodarze, że znów „mięsem” coś mocno ciskają i miejscowa młodzież się demoralizuje, a wszyscy w sumie zrazili się do Ochotniczych Hufców i poszukują na gwałt nowych robotników, prawdziwych, takich co przed zimą zdążyli budynek postawić. Do tej pory umowy z OHP podpisało zaledwie 12 pogorzalców, a i ci się ostatnio wycofują. Najważniejszy zarzut, jaki stawiają junakom to powolność pracy, potem kolejno idzie nieudolność, brak kwalifikacji murarskich no i sprawa kosztów. Umowy brzmią dość ogólnie, a kosztorys ma być sporządzony po zakończeniu robót. Tymczasem wydaje się, że powinno być odwrotnie.

Pełnomocnik OHP, który już od czerwca rezyduje w Spicimierzu zapewniał mnie, że junacy robią po cenach trzykrotnie niższych niż prywatni wykonawcy. Prywatni wykonawcy twierdzą z kolei, że to oni robią trzy razy taniej. Komu tu wierzyć? Chłopi przechylają się ostatnio raczej w kierunku prywatnych wykonawców.

Wiele już wypisano o przysłówiowej chłopskiej nieufności. Ale chyba jeszcze więcej o zdrowym, chłopskim rozsądku. Gospodarz Kukuła pokazał mi fragment muru — owoc pracy junaków z OHP. Robotę wstrzymano, może do zimy krzywa ściana się nie zawali. A w ogóle całość sknoczona. Właściciel zmartwiony i pełen

nieniem tego reportażu porozumiał z kim trzeba. Dziękuję za radę.

Może i pełnomocnik ma rację, nie mam przecież ani kwalifikacji inżyniera budowlanego, ani murarskich uprawnień, żeby oceniać efekty junackiego trudu. Na swoją obronę mam tylko to, że jak każdy obywatel w naszym kraju przez ćwierć wieku przyglądałem się budowom, których wszędzie pełno. Właściwie nie wątpię również, że pełnomocnik ma rację, jest człowiekiem operatywnym, odpowiedzialnym i zjawiał się w Spicimierzu kierując się najszlachetniejszymi pobudkami. Ale i chłopcy tutejsi nie są w ciemni bici, i swoje wiedzą. Wierzę także w entuzjazm i ofiarną młodzież. Ale wiem z doświadczenia, że chłopcy nie lubią być uszczęśliwiani na siłę. A więc wiem i wierzę, tylko nie rozumiem skąd ta wzajemna nieufność między przybyszami i tubylcami, której objawy widoczne są na każdym kroku. Nieufność ta ma wszelkie cechy niechęci. Ot, chłopska wdzięczność.

Jeden z tutejszych gospodarzy wyjaśnił mi rzecz w sposób następujący: „Już nam nadojadło to zainteresowanie naszą wioską. Przez całe życie nie byłem na tylu zebraniach co przez te cztery miesiące. Daliby nam spokój. Ciągłe ktoś przyjeżdża, radzi, pomaga. Piszą w gazetach, a o tym, że w sklepie z artykułami żelaznymi w Uniejowie od paru tygodni trwa remanent, to nikt nie napisze i po głupi gwóźdź albo łopatę trzeba jechać aż do powiatu lub nawet do województwa. Zgodziłem mularza, takiego znajomka bez papierów, ale chłop boi się przyjąć do roboty, bo tu ciągle jakieś kontrolery i re-daktory przyjeżdżają. Ja wiem jedno, że jak się władza zbliży do chłopom interesuje, to nigdy nic z tego dobrego nie wychodzi. My tu po staremu, po swojemu bismy sami sobie dali radę. Ludzi tu ma-

George Salko, A. P. Gütersloh, H. von Doderer lub E. Canetti.

Sprawa to odmiennego od niemieckiego ciągu tradycji i to zarówno w zakresie problematyki i tematu, jak też — mimo wszystko — w zakresie języka i artystycznego wyrazu dzieł literackich.

„Dzieje się tak dlatego — pisze w jednym ze swych szkiców Jan Koprowski — że na rozwój kulturalny Austrii wpływały narody wschodnie (w ramach monarchii Czesi, Serbowie, Węgrzy i Polacy) z jednej strony, z drugiej — narody zachodnie, przede wszystkim Francja, neutralizując w ten sposób bezpośrednie wpływy niemieckie. Od Słowian i Węgrów wzięła literatura austriacka łagodność i liryzm, od Francuzów — jasność i pogodę. Są to cechy, które odróżniają ją od literatury niemieckiej, literatury kojarzącej się w umyśle europejskiego czytelnika z czymś wprawdzie bardzo gruntownym i źródłowym, ale ciężkim i pozbawionym lekkości, wdzięku i do-wiepu”.

Do tych rozważań warto dodać, że specyficzną cechą wielu dzieł austriackich twórców jest ponadnarodowość tematyki i problematyki literackiej. Mówiąc o austriackiej mentalności H. von Doderer trafnie zauważył, że „właściwa austriacka świadomość narodowa wykazuje strukturę ponadnarodową. Nie trzyma się ona za bardzo planetyzowanego rozumienia kraju i ludzi”. Literatura jest zwierciadłem, w któ-

rym odbija się życie społeczeństwa, wobec tego też cechą austriackiej literatury nie jest wąskie traktowanie tematu narodowego, lecz uchwycenie problemów i zagadnień ponadnarodowych.

To tłumaczy — co najmniej częściowo — sytuację niektórych austriackich pisarzy, którzy niedoczekani w swej ojczyźnie, bo wykraczają poza „swój czas”, bywają odkrywani dopiero po latach, jak np. Elias Canetti, którego powieść „Auto da fé” zaszokowała świat w 1963 roku, chociaż powstała w Wiedniu trzydzieści lat wcześniej. Podobny los spotkał już Fr. Kafkę, R. Musil, G. Salko, H. Brocha i in., a dziś trudno wyobrazić sobie bez nich obraz współczesnej literatury światowej.

Na marginesie warto zauważyć, że literatura austriacka w Polsce jest dość dobrze znana. Zwłaszcza w ostatnich latach pojawiają się przekłady wielu austriackich autorów. Na swoje odkrycie czekają u nas jednak nadal jeszcze choćby Hugo von Hofmannsthal, Georg Trakl i cała plejada młodszych autorów współczesnych. I chyba słusznie Gerhard Fritsch w eseju „Österreichische Gegenwartsliteratur” stwierdza, że dla austriackiej literatury po 1945 r. „jeszcze nie wybiła godzina powszechnego podziwu i zaszokowania”.

Ma tu na myśli przede wszystkim Alberta Parisa Gütersloha oraz Heimito von Doderera. Pierwszy wywodzi się ze szkoły wiedeńskiej ekspresjonistów przy czym tematycznie jego dzieła wykazują pewne zbliżenie do twórczości Roberta Musila, a pod względem formy do neobaroku

Franza Blei'a. Cechy te najpełniej ujawniają się w dziele życia A. P. Gütersloha, w ogłoszonej w 1962 roku powieści „Słońce i Księżyc”. Po przez rozległą i zawiłą akcję nawiązuje to wieloznaczne dzieło do utworów obrazujących starą Austrię (popularny motyw w literaturze lat międzywojennych). Pod zewnętrzna powłoka ukrywa jednak o wiele szerszą panoramę świata duchowego, wyleniającą się z rozlicznych dygresji, które jednoczą to, co zewnętrzne z tym, co wewnętrzne i dlatego bywa też A. P. Gütersloh nieraz traktowany jako przedstawiciel tzw. magicznego realizmu, którego zwolennicy usiłują uchwycić istotę faktów a zarazem umożliwić wejście poza nie, przeświecić rzeczywistość, aby widoczny stał się równocześnie świat zewnętrzny i wewnętrzny.

A. P. Gütersloh, malarz i pisarz w jednej osobie, mimo sędziwego wieku (rocznik — 1897) stale tworzy, jest jedną z najoryginalniejszych osobowości współczesnej austriackiej kultury. Za jego ucznia uważał się zmarły kilka lat temu Heimito von Doderer. O ile Gütersloh znany jest w Polsce ze „Słońca i Księżycy” oraz apokryfu „Kain i Abel”, to z bogatej twórczości Doderera przełożono dotąd tylko dwa mniejsze wagi utwory: „Każdy może być mordercą” oraz „Trąby Jerychońskie”, natomiast nie zostały jeszcze dla polskiego czytelnika „odkryte” „Die Strudlhofstiege” oraz „Die Dämonen”.

Doderer to przede wszystkim epik, pisarz rozmaitowany w narracji. W wymienionych tu dwu dziełach kreśli pie tylko epicki obraz Wie-

EDMUND ROSNER

## Literatura austriacka po 1945 roku

**S**PÓR o istotę i specyfikę austriackiego piśmiennictwa powstałego przecież w języku niemieckim, prowadzony przez germanistów nie tylko w samej Austrii, ale także w wielu innych krajach (np. w Stanach Zjednoczonych, Włoszech, Francji i in.), nie jest jeszcze rozstrzygnięty. W opracowaniach przedmiotowych można zatem spotkać zarówno opinie o odrębności literatury austriackiej, jak i pogląd o jej integralności z literaturą niemiecką. Dość wskazać na konfrontację różnych poglądów na ten temat, ogło-

szoną w 1965 r. w wiedeńskim miesięczniku „Wort in der Zeit”.

Nie wnikając w różne nuanse sporu warto zwrócić uwagę, że istnieje różnica specyfika między literaturą austriacką a niemiecką i to nie tylko w zjawiskach piśmiennictwa powstałego na marginesie zasadniczego nurtu kulturowego, piśmiennictwa czerpiącego treści i formę z regionalnej odrębności krain alpejskiej republiki (piśmiennictwo to dla wielu stanowi istotę pojęcia „literatura austriacka”), ale również w dorobku twórców tej miary, co Robert Musil, Hermann Broch,



# MAJOWE WSPOMNIENIE

Do dobrej tradycji należy udział wielu wybitnych pisarzy w majowych kiermaszach książki w parku im. H. Sienkiewicza. Jan Gerhard był naszym gościem w roku 1968. Przywiozł ze sobą, specjalnie na tę okazję, wydobyte z najgłębszych rezerw Wydawnictwa MON, 100 egzemplarzy „Niecierpliwości”, będącej unikatem na księgarskim rynku.

Nim dotarli do stoiska autorskiego, zapoznał się z kiermaszem i przy powitaniu podkreślił: „Macie piękny kiermasz, to jest znakomite miejsce na taką imprezę. Ten park w porównaniu z warszawską „patelnią” pod Pałacem Kultury, to prawdziwa oaza zieleni”.

W sąsiadującym z parkiem III Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki odbyło się spotkanie autorskie pisarza. Jan Gerhard mówił o swej drodze życiowej i twórczości. Podkreślił ich ścisły związek, stwierdzając: „Wszystko co opisuję widziałem”. W 1939 r. udało mu się przedostać do Francji gdzie walczył w dywizji grenadierów, a później działał czynnie w Ruchu Oporu. Pod wpływem kampanii francuskiej narodziła się powieść „Woj-

na i ja” oraz monografia „Grenadierzy”.

Po wojnie wraca do kraju i walczy jako dowódca pułku w Bieszczadach. Zmagania z bandami były genezą „Lun w Bieszczadach”. Autor zatrzymał się nieco dłużej przy tej powieści, znanej przecież młodzieży jako lektura. Zaakcentował bardzo mocno, iż chciał, by utwór był ostrzeżeniem przed nienawiścią, przed zepchnięciem człowieka na dno, aby dramat jaki się rozegrał był nauką dla przyszłych pokoleń. Pisarz wybrał formę powieści, gdyż ta wydawała mu się najwłaściwsza dla oddania jego zamierzeń. Sucha, faktograficzna relacja nie spełniałaby tej roli. „Historia nie może być inwentaryzacją wydarzeń, bo wtedy nie jest historią”, stwierdził autor.

Kariere wojskową zakończył w roku 1956 jako pułkownik dyplomowany, gdyż powołanie pisarskie okazało się silniejsze. Jako dziennikarz przebywał w latach 1959–1963 w Paryżu i Brukseli. Efektem tego są 3 eseje: „Czas generała”, „Zoologyka” i „Francuzi”. Swe blisko godzinne wystąpienie zakończył Jan Gerhard ogólnymi uwagami o „Niecierpli-

wości” jako powieści nowego typu.

Gdy przez dłuższy czas nikt nie zabierał głosu w dyskusji, we wzroku pisarza odczytałem wyraźne zdziwienie i niedowierzanie. Wreszcie padło jedno pytanie, ale dotyczyło ono nie tych spraw, które autor głównie akcentował, a formy „Niecierpliwości”. Jan Gerhard bardzo obszernie rozwinął temat mając nadzieję, że to może pobudzi słuchaczy.

Niestety, na tym spotkanie się skończyło.

Gdy wyszliśmy ze szkoły, autor

soki. Nie przypuszczałem jednak, że młodzi koledzy tak fatalnie zawiodą. Próbowałem trochę ich bronić, sugerując, iż może tak szeroka wypowiedź autora wyssała od razu wszystkie problemy.

Na to pisarz zareplikował: „Miałem kilka dni temu w Katowicach podobne spotkanie, mówiłem o tych samych sprawach i przez trzy godziny nie mogłem wyjść z sali. Czyżby inna młodzież! Dlaczego tam znalazło się szereg problemów do dyskusji?”

Na to pytanie nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Nie najlepszy nastrój pisarza po-

nym zebraniu literatów warszawskich (przebywał wówczas za granicą). Uważał, że z jednoznaczna oceną sytuacji należy jeszcze poczekać.

Spotkanie w Klubie Miłośników Książki w Radomsku było diametralnie różne od ранego. Przede wszystkim autor czuł się o wiele lepiej w miłym wnętrzu księgarni, wypełnionym do ostatniego miejsca, niż w wielkiej auli szkolnej. Poza tym zupełnie inny typ słuchacza — wyrobionego czytelnika — pozwalał na skupienie się głównie na nowym typie powieści współczesnej, której klasycznym przykładem jest „Niecierpliwość”.

Jan Gerhard należał, jak sam to stwierdził, jeszcze do pokolenia słowa pisanego, zaś obecne pokolenie jest już pokoleniem słowa mówionego i obrazu. Nigdy najpiękniejszy nawet opis nie zastąpi nam obrazu, który widzimy np. w telewizorze. Pisarzowi pozostaje więc tylko ucieczka do wnętrza człowieka, które broni się jeszcze, jak ostatnia twierdza, przed nowoczesną techniką. Tu należy szukać genezy powieści introspekcyjnej.

Swą erudycją i znakomitą talentem przekazania zrozumiałe myśli słuchaczom, autor porwał audytorium. Dyskusja była długotrwała i gdy późnym wieczorem opuszczaliśmy gościnne Radomsko, pisarz nie tał swego głębokiego zadowolenia i tego, że spotkanie dało mu pełną satysfakcję oraz całkowicie zrekompensowało poprzednie, nie z jego winy, niedane.

## Pamięci Jana Gerharda

przez dłuższą chwilę milczał, wreszcie zapytał: „Czy tak źle mówię, czy już ich zupełnie nie pociąga ta tematyka i niczego ich nie nauczyły tamte tragiczne wydarzenia w Bieszczadach?”

Dla mnie spotkanie było piękną lekcją patriotyzmu, podaną w znakomitej formie. Zwróciłem uwagę, że proponując spotkanie w tej szkole mieliśmy na uwadze dobrą opinię jaką cieszy się od lat. Sam zresztą jako były absolwent mogę potwierdzić, iż poziom przed laty był bardzo wy-

prawił nieco widok grona wielbicieli jego talentu, czekających już na kiermaszu, aby uzyskać autograf. Niemniej jednak, gdy po południu udaliśmy się na spotkanie do Radomska, przez pewien czas prowadził samochód w milczeniu. Ożywił się po pewnym czasie i nawiąaliśmy rozmowę na najbardziej interesujący nas temat — sytuacji w literaturze. Był to przecież bardzo gorący okres bezpośrednio niemal po wydarzeniach marcowych. Pisarz nie brał udziału w slyn-

## Wakacyjny konkurs „Odgłosów”

Kończy się sezon wakacyjno-wczasowych wędrowek, kończymy więc publikację zadań konkursowych, których tematem była Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikowaliśmy w ciągu 9 tygodni. — Zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne czyny konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększaliście swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych

II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych

III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

### ZADANIE KONKURSOWE NR 9

Wędrując po Ziemi Łódzkiej trudno pominąć to niewielkie miasteczko, istniejące tu zamek należy bowiem do najbardziej interesujących obiektów średniowiecznego budownictwa obronnego. Zbudowano go nad Warą w latach 1360–1365. Dziś mieści się w nim Wojewódzki Ośrodek Turystyki i Wypoczynku. Ostatnio w zamkowej scenarii odbywały się plenerowe spektakle Operowe Teatru Wielkiego. Miasteczko leży w powiecie poddębickim — jak się nazywa?

dnia, ale prawdziwą „komedię ludzką”. Postaci z różnych warstw społecznych — arystokraci, urzędnicy, oficerowie, uczeni, przemysłowcy, drobnomieszczaństwo i robotnicy a nawet złodzieje zapełniają twórczość Doderera a w „Strudhofstiege” (tytuł pochodzi od pasaży w IX dzielnicy Wiednia) tworzą barwny obraz miasta z lat przed i po pierwszej wojnie światowej.

Doderer nie jest jednak tylko malarzem swego miasta. Jego frapuje „stawanie się człowieka” (tytuł jednego z utworów) a wg pisarza człowiek osiąga pełnię człowieczeństwa dopiero gdy poznaie swą godność, zaś istota tego procesu tkwi w tym, że „z chaotycznych przepaści kształtują się coraz wyraźniejsze zarysy porządku i ładu, w które przeobrażają się chaotyczne formy pierwotne”.

Fakt że „Demony” noszą tytuł jednego z dzieł Dostojewskiego, nie jest przypadkiem. Austriacki pisarz świadomie nawiązuje do wielkiego rosyjskiego znawcy duszy ludzkiej, „porządkuje jednak chaotyczny uniwersalizm, który nie jest mu obcy, w strukturę na sposób barokowy skomplikowaną a jednak jasną i przejrzystą”. Demonami dla Doderera nie są ludzie opanowani przez demoniczne namiętności, ale zwykli, szarzy mieszczanie, w których wnętrzu głęboko spoziera. Pisarz nie gardzi także dygresjami i refleksjami nie łamią one jednak konstrukcji całości — „topografii duchowej miasta”.

Dziela A. P. Gütersloha i H. Doderera to wybitne osiągnięcia powojennej literatury austriackiej. W pierwszych powojennych latach, dodali tej

literaturze barw i odcieni inni jeszcze pisarze starszej generacji. Godzi się tu co najmniej wymienić kilkoro z nich, przede wszystkim Martinę Wied, autorkę obszernych malarstw epickich, z których „Historia bogatego młodzieńca”, n. b. częściowo umiejscowiona w Zakopanem, należy do najwybitniejszych; humanistę i szczerego przyjaciela Polski — Fr. Th. Csokora; mocno we współczesności tkwiących: Friedricha Torberga i Hansa Weigla; nie gardzący tematyką historyczną i u-wrażliwioną na problemy moralne Gertrudę Fussenegger; a także nader popularnych autorów: A. Lernet-Holenię (obecny prezes austriackiego PEN-Clubu), E. Lothara, R. Henza, K. H. Waggerla (austriacki Knut Hamsun), P. Grogger i in.

Młode pokolenie po 1945 r. wystąpiło nieśmiało. Z powojennych debiutantów kilku zdobyło jednak z latami nie tylko rozgłos i uznanie, ale zaznaczyło swoją obecność na mapie literackiej całego niemieckiego obszaru językowego. Istnieje twierdzenie, że pisarze austriaccy przewodzą dziś niemieckiej literaturze. Dużo jest w tym prawdy — m. in. także dzięki utalentowanym prozaikom. Twórczość Ilse Aichinger, laureatki nagrody Grupy 47, wyrasta z prozy Franza Kafki i wykazuje tendencje idące w kierunku surrealizmu. Zdobytą laureą jako poetka Ingeborg Bachmann w prozie wypowiada się za pomocą techniki asocjacyjnej. Do tradycji realizmu nawiązują m. in. R. Federmann, H. Eisenreich, M. Dor i inni. Dobrą prozę psychologiczną prezentuje zupełnie w Polsce nieznaną Marlena Haushofer, autorka

znakomitej powieści „Die Wand”. Przede wszystkim krótkie formy prozatorskie uprawia O. J. Tauschinski, najplodniejszym prozaikiem pokolenia jest zaś Fritz Habeck, sięgający po tematy historyczne. Hans Lebert, Kurt Benesch, Herbert Zand i jeszcze paru innych usiłuje swoją prozą, przesiąkniętą współczesnością i to nierzadko ze zrozumieniem politycznych aspektów wojennej przeszłości.

Twórczość wymienionego tu pokolenia powojennego wyrosła z szerokiej platformy ideowej i artystycznej zasłużonego pisma „Plan”, wydawanego przez Otto Basila. Większość prozaików debiutowała w tym piśmie, podobnie jak pojawiły się tu wczesne utwory znanych dziś poetów: Ericha Frieda i Paula Celana z głośną „Fugą śmierci” tego ostatniego.

E. Fried i P. Celan to głośne nazwiska w powojennej poezji austriackiej ale nie nazwiska jedyne. Istnieje przekonanie, że siła powojennej literatury austriackiej tkwi w bogactwie, różnorodności i nowatorstwie poezji i wiele przemawia za tym, że jest to przekonanie słuszne. Wprost trudno wymienić nazwiska wszystkich znaczących poetów po roku 1945. W spisie obejmującym powojennych liryków winni się bowiem znaleźć zarówno przedstawiciele starszej generacji, holdujący tradycyjnym formom poetyckim jak F. Braun, R. Henz i in., jak i powojenni debiutanci np. F. Mayröcker, W. Schmied, W. Toman, K. Wawra. Dobrze są znane poza swą ojczyzną poetki — Ch. Busta i Ch. Lavant a przede wszystkim najwybitniejsza poetka liryczna ostatnich

dziesiątków lat w Austrii — Ingeborg Bachmann. Wymienimy jeszcze reprezentantów pokolenia młodsze, go z eksperymentatorami Gerhardem Rühmem, Ernestem Jandlem i Andreasse Okopenko na czele, oraz oryginalnego poetę H. C. Artmanna, zwanego niekiedy geniuszem formy, który wypowiada się chętnie w wiedeńskim dialekcie.

U progu współczesnej poezji austriackiej stoją nazwiska Rilkego i Trakla. Ich wpływ zaznacza się dziś już tylko na starszej generacji. Młodsze pokolenie poetyckie Austrii przeżywało ten wpływ i swą oryginalną twórczością wywołuje wcale głośnie echo również poza granicami swego kraju. W Polsce wiersze austriackich autorów ukazują się często w prasie literackiej (zwłaszcza w „Poezji”) a przegląd dokonany współczesnej poezji austriackiej przedstawia przygotowywana przez Wydawnictwo Poznańskie antologia.

Sukcesom poetów nie odpowiadają sukcesy austriackiego dramatu. Co prawda sztuki F. Brauna, R. Henza, F. Th. Csokora ze starszych, a z młodszych H. Zusanka, H. F. Kühnela, H. Schwarza i in. są cenione przez austriacką krytykę teatralną, ale faktycznie chyba tylko F. Hochwälder wyraźniej akcentuje istnienie współczesnej dramaturgii austriackiej na scenach światowych. Austriacka literatura może natomiast poszczycić się wieloma wybitnymi słuchowiskami. W latach pięćdziesiątych, kiedy na krótko załamał się rozwój powojennej literatury, kilku pisarzy odeszło od tradycyjnych form i gatunków literackich. Jedni — jak np. Johannes

Mario Simmel — poszli w kierunku powieści odcinkowej dla magazynów ilustrowanych, inni natomiast skierowali swą uwagę na radio i telewizję i temu zbiegowi okoliczności austriacka literatura zawdzięcza m. in. takie sukcesy jak np. „Wizyta na plebani” I. Aichinger, „Ekspedycja” E. Frieda, „Dobry Bóg z Manhattanu” I. Bachmanna, „Bóg kocha Szawajarów” F. Hiesla i in. Austriacka twórczość dla radia i telewizji nie jest w Polsce znana. Wydaje się, że niestety.

Usiłując wskazać wybitniejsze zjawiska austriackiej literatury podług wojny światowej wymienię tu wiele nazwisk. Mimo ich mnogości nie wyczerpują one obrazu austriackiego piśmiennictwa, zwłaszcza w ostatnich kilku latach. Coraz pełniejszym głosem zaczyna tu bowiem przemawiać młodzież literacka, wrażliwa na nowinki ze świata, umiająca je przeżywać i także uzupełniać własnymi akcentami. Do wódz tego np. nazwiska poety i prozaika, autora szokujących książek „Ungenach” lub „An der Baumgrenze” — Thomasa Bernharda, znanego dobrze w Polsce autora dramatycznego — Petera Handkego, oraz prozaika, który zabłysnął w ubiegłym roku powieścią „Geometrischer Heimroman” — G. E. Jonkego. Chociaż niektórzy z nich wypłynęli na falę udziwnionej nowoczesności, to jednak często mają czytelnikowi do powiedzenia wiele ciekawego oryginalnego, aczkolwiek zdarza się że nieraz tylko szokującego. W Polsce, poza sztukami Petera Handkego, dokonania najmłodszego pokolenia austriackich pisarzy nie są w ogóle znane.



IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

## O RZEŹBIE OTTO GUTFREUNDA

Po wystawie Jindřicha Štyrského w 1969 r. Narodowa Galeria w Pradze zaprezentowała obecnie w Łodzi sztukę rzeźbiarską Otto Gutfreunda.\*)

Sztuka Otto Gutfreunda (1889—1927) nie znana zupełnie w Polsce, przeżywa dziś — po czterdziestu przeszło latach od śmierci artysty — prawdziwy renesans popularności, a każde światowe opracowanie traktujące o kubizmie podlega weryfikacji uwzględniającej nazwisko i dokonania tego czeskiego artysty.

Gutfreund — uczeń Drahonowskiego i Bourdella wniósł istotnie do rzeźby tę szczególną lekkość w kształtowaniu bryły, którą na płaszczyźnie obrazu demonstrowali nieco wcześniej wielcy kubiści — Braque, Picasso, Gris. Ale doświadczenia kubistyczne Gutfreunda stanowiły tylko część, zaledwie fragment jego twórczej spuścizny. Fragment ale nie największy.

W sztuce Gutfreunda ostry bowiem zarysował się jednostkowy dramat artysty poszukującego formy nowej i uniwersalnej i wciąż wątpliwego w wartości własnych poszukiwań. Dramat to przecież nienowoczesność; te same wątpliwości kazały de Chirico wyrzucić swego genialnego mistycznego malarstwa, te same wątpliwości chyba zmusiły Picassa — kubiście do dokonania daleko idącej wolty w kierunku sztuki skomercjalizowanej i kompromisowej. Wobec Gutfreunda, który — zdaje się — był artystą niezwykle wrażliwym i podatnym na emocje, znajdował się nieustannie na rozdrożu dwóch dróg. Jedną — to awangarda posługującą się językiem logiki i geometrii, awangarda kubizmu syntetycznego. Drugą — to tradycyjna droga sztuki intuicyjnej, bardziej przeczuć niż uzasadnionej — spontanicznej w geście i w ekspresji. Z rozdroża tego znalazł Gut-



Otto Gutfreund: Viki. 1912—1913 (Brąz.)

freund zresztą jeszcze inne wyjście tworząc przykłady sztuki „wprost”, sztuki czystej dla masowego odbiorcy, z zamierzenia naiwnej i „plebejskiej”.

Łódzka wystawa prezentuje te trzy tendencje w rzeźbie Gutfreunda. Każda jest na swój sposób przekonująca, każda mówi o wielkim talencie tego przedwcześnie tragicznie zmarłego artysty. Są więc rzeźby zaskakujące nawet dziś swoją bardzo nowoczesną formą — skróty, syntetyczne, abstrakcyjne doskonałe. Pochodzą z lat 1916—1917. Są naiwne — dziś wzięlibyśmy je za pop-artowskie — polichromowane rzeźby, adresowane do szarego człowieka na zasadzie sztuki ludowej, sztuki dekoratywnej i jednoznacznej. Pochodzą z lat 1921—1923. Są wreszcie rzeźby z lat dziesiątych naszego wieku, rzeźby które najsilniej za-

rysowały sylwetkę artystyczną twórcy. Są ekspresyjnie barokowe ale i logicznie skondensowane w rytmach, nowoczesne w widzeniu kształtowane

przez twórcę materii ale i rozbuchane, w kształtach zdumiewająco swobodne. Tak rytm sztuki nowoczesnej, równowagę ciężar bryły lekkością powietrza, łączy się w rzeźbie Gutfreunda z dramatyczną płataniną ekspresyjnych układów przestrzennych, porównawczych i pięknych. Taki jest „Niepokój”, „Don Kiszot”, „Hamlet”, „Portret ojca IV”, „Wiolonczelista”. Takie są pełne wyjątkowej ekspresji płaskorzeźby „Współbrzmienie”, „Koncert”, „Dwie postacie”. Osobliwość oryginalnego talentu Gutfreunda objawiła się tu w znacznej łatwości przy przenoszeniu formy kubicznej w kanon baroku. Nieznaczący wpływ Bourdella nie zaważył na braku samodzielnego twórczego Gutfreunda. Czeski rzeźbiarz przyjął szkołę Bourdella miękko, uwzględniając zalety niektóre wskazania, niektóre sposoby kształtowania estetycznego wzorca piękna.

Bo sztuka Gutfreunda podporządkowana jest tej filozofii, która w sztuce widzi zawsze narzędzie ukazywania piękna. Stąd i estetyzm Gutfreunda nie niszczy tradycyjnej tkanki sztuki; jest pozytywnie afirmacyjny. Mimo więc, że należy już do innej epoki, do epoki kubizmu i konstrukcji — jest Gutfreund pokrewny gigantowi rzeźby jakim był Rodin. Dążył bowiem do pozytywnego włączenia widza, w pole i zakres działania bryły rzeźbiarskiej. Do aktywnego uczestniczenia w przestrzeni w której rzeźba i człowiek stanowią przyciągające się bieguny — nie skłócone ale i niezależne. Dlatego dzieło Gutfreunda jest nadal żywe, mimo, że powstało przed półwieczem.

OTTO GUTFREUND — rzeźba — rysunek. Muzeum Sztuki w Łodzi, lipiec — wrzesień 1971.

### W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ J. WILMAŃSKI — Sopot czyli jest jak jest
- ★ M. WAWRZKIEWICZ — Pamięć
- ★ A. ZAWILSKI — Pod Mokry i Ostrowami

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Rocznica wybuchu II wojny światowej minęła po raz trzeci. Drugi, a przecież jeszcze ciągle twórcy filmowi mają o niej coś do powiedzenia. I to zarówno w dokumencie jak i w fabule. Na tegoroczny wrzesień Centrala Wynajmu Filmów skierowała do rozpowszechniania dwa filmy pełnometrażowe — dokumentalny i fabularny, związane z wydarzeniami II wojny światowej.

Pierwszy z nich to „SPOJRZENIE NA WRZESIEŃ”. Macieja Śieńskiego, niemal całkowicie skonstruowany z materiałów archiwalnych — zdjęć i fragmentów filmów, które autor — scenarzysta, reżyser i autor komentarza w jednej osobie — gromadził przez dwa lata, sięgając do archiwów, muzeów, wytwórni filmów dokumentalnych, bibliotek i zbiorów osób prywatnych, w kraju i za granicą.

Film został zrealizowany w ubiegłym roku i wydawać by

się mogło, że w tyle lat po zakończeniu wojny i opublikowaniu tak wielu prac historycznych na ten temat, o II wojnie światowej niczego nowego powiedzieć już nie można. Okazało się jednak, że jeśli nie powiedzieć, to na pewno można pokazać. Film Śieńskiego wypełnia lukę w tej dziedzinie filmu dokumentalnego. Jest właściwie dopiero drugą próbą filmową (po filmie „Wrzesień — tak było” Bossaka i Kaźmierczaka) pełnego ukazania wydarzeń wrześniowych. Prawie dziesięć lat dzielących te filmy nie pozostało bez znaczenia dla ich kształtu.

„Spojrzenie na wrzesień” jest bodaj pierwszą próbą ukazania przebiegu kampanii wrześniowej na terenie całego kraju, na wszystkich jej frontach. Autor pokusił się również o pokazanie tła historycznego, wydarzeń, które poprzedziły wybuch wojny w Polsce i za granicą. Samodzielność myślenia, wyciągania wniosków i odmiennego niż dotychczas komentowania niektórych faktów i zjawisk, jest

jedną z niewątpliwych zalet tego filmu.

Materiały filmowe przeplatane są planszami z danymi historycznymi dotyczącymi stanu uzbrojenia, strat itd., zdjęciami, mapami ukazującymi ruchy wojsk polskich i niemieckich — w sposób jasny i przejrzysty. Fakt, że autor sięgnął do źródeł zagranicznych: radzieckich, niemieckich, węgierskich i rumuńskich sprawił, iż w filmie tym oglądamy materiały dotychczas nieznane i nie publikowane.

★ ★ ★

„GOTT MIT UNS” — film fabularny produkcji włosko-jugosłowiańskiej (reżyseria — Giuliano Montaldo) powstał również w 1970 roku, jego akcja toczy się w ostatnich dniach wojny. Na wstępie realizatorzy filmu informują, że historia którą opowiedzą wydarzyła się naprawdę. Informacja taka jest potrzebna. Inaczej nikt by nie uwierzył, w prawdziwość tej opowieści. Zapewne dlatego, że najokrutniejsze, najbardziej fantastyczne wydarzenia tworzy nie sztuka lecz życie.

Rzecz dzieje się w obozie jeńckim (na terenie Holandii), w którym zgromadzono trzy tysiące żołnierzy niemieckich, patrolowanych przez Kanadyjczyków. Do obozu tego trafia dwóch Niemców-dezerterów, którzy przez nielegalny niemiecki sąd wojenny zostają skazani na karę śmierci za dezercję. Wyrok jest wykonany w kilka dni po zakończeniu wojny, za pomocą broni dostarczonej Niemcom przez Kanadyjczyków.

Recenzje, które ukazały się

we Włoszech po wejściu tego filmu na ekrany są bardzo zawile, starają się problem uogólnić i przenieść na szersze płaszczyzny moralno-obywatelskie. Zapewne ten film wprowi w zakłopotanie krytyków zachodnich, wydaje się bowiem, że jego wymowa przekroczyła chyba nawet zamierzenia autorów. Tak okrutnego i przerażającego i tak prawdziwego obrazu mentalności nazistów niemieckich, nazizmu jako szkoły — nie dał chyba żaden z powojennych twórców filmowych. Montaldo

pokazał szaloną hydrę, która odradza się błyskawicznie i w każdym warunkach.

Realizując swój film w 1970 roku, Montaldo nie mógł pominąć dzisiejszych układów sił politycznych. Kanadyjczycy 1945 roku traktują pokonanych Niemców jako przeciwników, ale nie jako wrogów. Dobrze, że takie filmy powstają na Zachodzie, dobrze, że powstają przeszło trzydzieści lat po wojnie. Por. treti nazisty trzeba pamiętać.

T. W.





# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## CZY AV ZABIJE TV?

Prawie w sto lat po wynalezieniu fonografu, w niemal pół wieku po narodzinach filmu dźwiękowego, w kilkanaście lat po wprowadzeniu telewizji w Europie zbliża się jakoby dzień, który zaznaczymy się wielkim przełomem w dziedzinie środków maso-

Nauka, rozrywka, przegląd najświeższych filmów światła, bajeczki dla dzieci, opery, najświeższe gwiazdy piosenki, sztuki teatralne, przemówienia mężów stanu, zawody sportowe, kursy pielęgniarstwa, wiedza o motorach, moda — wszystko znajdziemy w kasetach. „Wszystko co można zobaczyć, przeczy-

tać, albo usłyszeć — zapewni jeden z szefów produkcji zajmującej się już dziś przygotowywaniem kaset AV — zawarte będzie w kasetach”.



Dwa systemy AV: płytowy i kasetowy

wego przekazu. Jak sądzą niektórzy będzie to wstrząs tak potężny jak można sobie tylko wyobrazić.

Jak się to stanie? Podobno w sposób najbardziej prosty. Oto kasetę z taśmą (filmową lub magnetyczną) założymy do przyrządu zwanego „recorder” albo płytę, podobną do płyt gramofonowych położymy na specjalny przyrząd, nałożymy guziczek i oto na ekranie naszego aparatu telewizyjnego otrzymamy taki program, jaki sami sobie wybraliśmy — gotowy lub przez nas samych przygotowany. Czy zechcemy usłyszeć i zobaczyć „Fausta” czy może film z Charlie Chaplinem, pornograficzne filmy z Danii, a może sceny nagrane przez nas samych z ostatnich czasów, czy zechcemy posłuchać kursu języka obcego, albo dowiedzieć się jak przyrządzić tani i pożywny obiad — audiowizualne kasety i płyty, zwane w skrócie AV, dostarczą nam tego wszystkiego.

Telewizyjne kasety (lub płyty) zapewnią niezależność od terminów poszczególnych audycji telewizyjnych. Z własnego aparatu TV możemy odbierać swój własny przez siebie dobrany program. Toteż wizja samoobsługi przy telewizyjnym aparacie o każdej porze dnia i nocy zmobilizowała na Zachodzie całą armię przemysłowców.

Panią ogarnia zachodnia telewizja. Co pozostanie TV po rozpowszechnieniu się AV? Jedyne programy aktualności. A równocześnie otwierają się fantastyczne perspektywy zarobków dla przedsiębiorstw, którym udało się zdobyć światowy rynek swymi kasetaми czy płytami. Zarobią milardy. Toteż już dziś, mimo, że jeszcze kilka lat trzeba będzie poczekać na spopularyzowanie AV, odbywają się gorączkowe dy-

Kasety zawierająby rolki z filmem, na którym dokonany byłby zapis elektroniczny dźwięku i obrazu czarno-białego lub kolorowego, albo zawierałyby taśmę magnetyczną z zapisem dźwięku i obrazu. Zastosowanie taśm wydaje się być korzystniejsze. Można by na niej nagrywać także audycje TV lub sceny z życia rodzinnego. Można by je ścierać, tak jak dziś likwiduje się zapis na taśmie magnetofonowej i następnie znów nagrywać. Drugi system to drobnowłokowe płyty (rozw. o szerokości 0,008 mm, płyta miałaby 1500 obrotów na minutę) podobne do znanych nam płyt gramofonowych.

Wyjątkowo tylko jedna z firm proponuje inne techniczne rozwiązanie, a mianowicie zapisywanie i odtwarzanie przy pomocy słabych promieni laserowych.

Już w tej chwili myślą o zakładaniu wielkich AV-tek, wypożyczalni kaset czy płyt AV, które do-

starcząby abonentom na ich życzenie odpowiednie programy. Już dziś przedsiębiorcy kinowi zdają, by nowe filmy dopiero po pięciu latach wyświetlania ich na ekranach kinowych, trafiły do kaset AV.

Obliczono, że do 1980 roku 320 milionów ludzi posiadających aparaty TV będzie odbierało kolorowe lub czarno-białe mono- lub stereofoniczne, przygotowane przez siebie lub nabywane gotowe, programy AV.

Zapewne w przewidywanych tych, nadziejach i obawach, jest sporo przesady. Jak będzie naprawdę, zobaczymy.

## PRODUKCJA KSIĄZEK W JAPONII

W Japonii istnieje dwa tysiące sześćset pięć wy-

dawnictw Książkowych. Wydają one łącznie pięćset milionów książek rocznie. Większość wydawnictw znajduje się w Tokio, pracuje tu ich aż 2.223. W produkcji książkowej znacząco się coraz mniejszy udział beletrystyki, stanowi ona obecnie dwadzieścia procent ogólnej ilości.

## STRADIVARI WNUCZKI BYRONA NA LICYTACJI W LONDYNIE

Stradivari — tak się nazywał ród słynnych lutników w Cremonie. Zaś Antonio Stradivari (1644-1737) do dziś uchodzi za najlepszego wytwórcę skrzypiec. Nazwisko Stradivari przeszło i na skrzypce wykonywane przez ten

ród. Ostatnio w czerwcu br. w Londynie skrzypce zwane „Lady Blunt” jeden z dwóch egzemplarzy Stradivari najpiękniejszych na świecie, zostały wystawione na licytacji w Londynie. Skrzypce te, pochodzące z roku 1721, a więc z warsztatu samego wielkiego Antonia Stradivari, należały w swoim czasie do lady Blunt, wnuczki Byrona, która była podobno znakomitą skrzypkarką.

W roku 1864 lady Blunt sprzedała instrument za 260 funtów szterlingów. Kupił go Jean Baptiste Vuillaume, znany francuski lutnik. Obecnie skrzypce „Lady Blunt” zostały sprzedane za 84.000 funtów. Nabył je pewien londyński kupiec dla swego klienta, którego nazwiska nie ujawniono.

## DAR PICASSA DLA MUZEUM W ARLES

Pablo Picasso w tym roku w październiku kończy 90 lat. Z okazji tej rocznicy oraz 70-lecia pobytu wielkiego malarza we Francji Rada Miejska Paryża przyznała mu tytuł Honorowego Obywatela Paryża. Picasso wciąż jest pełen energii twórczej. Od 30 grudnia 1970 roku do 4 lutego br. Picasso stworzył nowe dzieła — około 200 rysunków, kolorowych i czarno-białych na białym lub szarym papierze. Wszystkie opatrzone są datami i numerowane. Niekiedy kilka rysunków, przeważnie osiem, jest dziełem jednego dnia, a raczej nocy. Jedną wielką pracę wykonuje w nocy. Kilka takich rysunków tworzy

przeważnie rozwinęte jakiegoś tematu, ukazuje różne warianty tego samego zamysłu artystycznego. Nie powinny być zatem rozdzielane. Tematy, to tak charakterystyczne dla twórczości Picassa, tancerki i arleki, głowy kłownów (przy czym kłowni mają rysy samego Picassa), muszkieterzy, leżące kobiety itd. Rysunki zdradzają niezwykłą technikę, żywotność i dziełowego malarza, niewygasłą energię twórczą, poczucie humoru.

Z dwustu tych dzieł Picasso i jego żona, Jacqueline, wybrali 57, które mistrz ofiarował miastu na południu Francji, Arles. Oboje, Pablo Picasso i Jacqueline lubią Arles, byłą tam i chodzą na urządzane wzorem hispan-

skim walki byków. Ostatnio muzeum Réattu w Arles postanowiło uczcić 90-lecie malarza jego wystawą. Picasso nie tylko zgodził się, ale zatelefonował, że ofiarowuje jako dar dla muzeum część dzieł z ostatniego roku.

Muzeum Réattu znajduje się w budynku dawnego klasztoru Kawalerów Maltańskich, którzy mieli tu siedzibę jeszcze w XIX w. Budowla przypomina nieco gmach muzeum barcelońskiego, w którym znajdują się m.in. dzieła Picassa z okresu jego młodości. Sale muzeum w Arles zamknięte były od czasów Wielkiej Rewolucji i otwarte dopiero w roku 1957. Pierwszą wystawą jaką muzeum to urządziło, była właśnie ekspozycja dzieł Picassa.



Rys. Pablo Picasso



## KSIAZKI O SZTUCE

WYCHOWANIE ESTETYCZNE ♦ MONOGRAFIE WITZA ♦ LUKA W ZAPOTRZEBOWANIU ♦ MALE HISTORIE SZTUKI ♦ TEMATY ODWIECZNE ♦ SPOTKANIE Z GRAFIKA

Nawet najbardziej skrupulatne planowanie nie chroni od zaskakujących niespodzianek. Dotyczy to oczywiście także książek i całych serii wydawniczych. Oto Państwowy Zakład Wydawnictw Szkolnych zaplanował i wydał kilka popularnych publikacji poświęconych sztuce i wychowaniu estetycznemu. W założeniu seria ta adresowana była do młodzieży klas licealnych, ale...

Wydawca — chciałoby się rzec — przedobrzał. Chwała mu za to! Ukazały się książki atrakcyjne, świetnie napisane, dobrze wydane, autorami są naprawdę wybitni specjaliści i to w dodatku tacy, którzy potrafią pisać.

W serii PZWS o Moniuszce napisał Witold Rudziński, o tańcu Irena Turska...

Mnie jednak szczególnie interesują książki o plastyce i im chcę poświęcić kilka słów. Oto wydano w ciągu ostatniego roku dwie książki niedawno zmarłego Ignacego Witza — „Portret w malarstwie” i „Krajobraz w malarstwie” oraz Stanisława Stopeczyka — „Spotkanie z grafiką”.

Te trzy jednolitą i starannie wydane książki zaskakują się sobą i planistami. Kupują je lekarze, inżynierowie, nauczyciele, — ba, nawet plastycy. Zupełnie nieoczekiwanie książki przeznaczone do szkół zdobywają sobie uznanie i popularność w szerokich kręgach „dorosłych” inteligencji. Nie świadczy to rzecz prosta przeciw książkom i Wydawnictwu — świadczy z a... Bardziej lub mniej świad-

domie trafiono w społeczne zapotrzebowanie na książki o plastyce napisane prosto, informacyjnie — swoim kształtem zbliżone raczej do leksykonu, monograficznego zarysu historycznego. Takie książki są potrzebne, na takie książki czeka inteligentny odbiorca — nie tylko w klasach licealnych ale i daleko poza nimi.

Swada pisarska, wiedza i popularyzatorski talent Ignacego Witza nie są dla nikogo tajemnicą. Witz potrafił swoją wiedzę przekazać zawsze w sposób literacko atrakcyjny — nie więc dziwnego, że jego obie książki są szczególnie ciekawe. Wybrał zresztą formę wyjątkowo szczęśliwą — przekazywanie historii malarstwa w sposób tematyczny. „Portret w malarstwie”, „Krajobraz w malarstwie” — w tych odwiecznych tematach pozornie wąskich — zawrzeć można swobodną małą historię sztuki. Witzowi się to udało. Pisze o portrecie, jako odrębny dział malarstwa, śledzi ewolucję stosunku malarza do modelu i ewolucję kryteriów wyboru modelu. Natomiast krajobraz przedstawia w rozwoju historycznym a nie w granicach epoki, szkoły czy kierunku. Jest to zarazem opowieść o ewolu-

cji stosunku człowieka do przyrody, o ewolucji sposobu patrzenia na piękno natury. Szkoda tylko, że Witz nie zdążył napisać jeszcze monografii „Martwa natura w malarstwie” — byłaby to z pewnością książka równie pasjonująca a razem z poprzednimi stanowiłaby całość zawierającą historię trzech najstarszych i podstawowych tematów światowego malarstwa.

Miejmy zresztą nadzieję, że w serii PZWS taka książka się ukaze.

Bardzo udana jest również książka Stanisława Stopeczyka „Spotkanie z grafiką”. Inaczej niż w publikacjach Witza tutaj autor postanowił w swej pracy zamknąć całość spraw grafiki. Czy mu się to udało? Jeden z grafików — uczestnik wielu wystaw i laureat konkursów powie — „nie”. „Świetna książka, wiele się z niej dowiedziałem a poza tym dobrze napisana, bez pokrętnych zawiąsów myślowych charakterystycznych dla większości prac historyków sztuki...” Myślę, że ta opinia w zupełności określa walory książki Stopeczyka. Jest w niej bowiem potężny bagaż informacji nie tylko encyklopedycznej, ale i technicznej, a nawet

ciekawostkowej. Dobrym pomysłem było wprowadzenie na końcu każdego rozdziału „Kącika znawcy”, gdzie w sposób zwięzły określa się cechy poszczególnych technik.

Ale na koniec rodzi się pytanie. Jeśli „szkolna” książka o grafice budzi zainteresowanie grafika, jeśli „szkolne” monografie Witza kupuje dorosła inteligencja, to czy poziom tych książek nie przekracza możliwości percepcji licealistów? Po prostu — czy nie są one „za mądre” dla młodzieży? Trudno na to odpowiedzieć, ale myślę, że są „za mądre” dla wszystkich leżących na najniższym, wybijającym się ponad uczniowską przeciętność na pewno serie PZWS zaakceptują. A o to przecież chodzi — te książki nie są obowiązkową lekturą, są natomiast świetną pomocą dla uczniów o określonych kierunkach zainteresowań.

Tak zresztą rozumiem owy 10-20-tysięczny nakład. Był on przecież planowany wyłącznie z myślą o młodzieży. Życie jednak chciało inaczej — książki dostrzegł także dorosły, PZWS wypełnił bowiem lukę w ogólnym zapotrzebowaniu na rzetelne, dobrze napisane książki o sztuce.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## „JABUKO”

Kiedy byłem bardzo mały i jadłem swoje pierwsze jabłko — jabłko tarte, pokrajane w kawałki i obrane, wreszcie jabłko całością — „ze skórką”, z „witaminami”, kiedy zatem byłem jeszcze bardzo mały, spożywając jabłko zacząłem przeczuwać, rozumieć wreszcie, że jabłko bywa nie tylko „tarte”, „w kawałkach” i „ze skórką”, jabłko obok tych trzech materialnych postaci przetrzennego trwania, trwa także jako dźwięk, wymawiane słowo i jako słowo zapisane. Nie tylko dawano mi jabłko, ale mówiono do mnie „jabłko”, co prawda mówiono nie „jabłko” lecz „jabuko”. Ja mówiłem „Proszę o jabuko”, oni mówili „Masz jabuko”. W miarę jak docierałem do jabłka, już nie jedzonego, ani pisanego lecz do jabłka pisanego z rosnącym zdziwieniem dowiedziałem się o strasznej w zapisie literze „j”, która pożarła nieszczęśliwe „u” jabłkę wymowy mego dzieciństwa i wymowy potocznej. Poznałem, że niezmierznie trudna do mówienia litera „j” jest upiorem naszego alfabetu, nieszczęśliwie wielu ludzi mówiących (prawdopodobnie ją wymawiać raczej tylko aktorzy), znacznie w większym stopniu niż litera „r”. „Jabuko” i „jabuko” jedzone i mówione tak czy inaczej rosło we mnie. Funkcjonowało w poznawanej botanice, mitologii, w historii sztuki to Ewa skłoniła Adama do skosztowania zakazanego jabłka, to trzy greckie boginie sprzeciły się o jabłko z napisem „najpiękniejszej”, to ktoś stracił strzałę z łuku jabłko z głowy dziecka, to ktoś potłukł sobie jabłko kolanami. Mówiono mi o jabłkach rzeczy ciekawe, sensacyjne — podobno kto będzie jadł co dzień, przez całe życie, trzy jabłka ten nie zazna sklerozy i nawet mając lat dziewięćdziesiąt pozostanie młodzieńcem. Ostrzegano i straszone, mówiono szeptem, że aby ustrzec jabłko przed bakteriami i robakami skóra ich opryskiwana jest potężną trucizną, której nie zmywa mycie, nie będę już zatem jadł „ze skórką” tylko starannie obrane. Jeździłem po kraju i dowiedziałem się, że w okolicach Warszawy i Łodzi rosną piękne i zdrowe jabłka, natomiast nad brzegiem Bałtyku szpetne i kwaśne. Dokonywałem syntezy mitologii z anatomią, mówiłem o mieszcącym się pod brodą „jabłkiem Adama”. Wiele czytałem i pisałem o jabłkach, wiele jabłek w rozmaitych postaciach spożyłem, wiem jak rozmaite kategorie ontologiczne i semantyczne spleły się w jabłku, a jednak ciągle mówię „jabuko” a nie „jabłko”.



BERNARD SZTAJNERT



# OPERACJA PLASTYCZNA

Przeglądałem się w lustrze, młodego mężczyzny na pierwszej stronie gazety Evening Herald. Pod spodem był napis: „Poszukiwany za zbrodnię”.

Wypaliłem wiele papierosów zanim mój pomysł przybrał realne kształty. Wstałem i podszedłem do szafy w głębi pokoju. Otworzyłem szufladę i wyjąłem stamtąd fotografię. Po zapaleniu lampki na stoliku porównywałem przy silnym świetle zdjęcie trzymane w ręku z tym w dzienniku.

Istotnie, rzecz niezwykła: prawie ten sam wiek, wzrost, te same włosy, budowa ciała, rysy twarzy. Schowałem fotografię do szuflady, a gazetę do kieszeni i wyszedłem, aby złożyć wizytę Arneyowi Vincentowi.

Musiałem pojechać aż na drugi kraniec miasta. Zaparkowałem samochód w odległości kilku bloków od domu, który był moim celem, a potem skierowałem się do bramy od podwórza. Wszedłem na schody, przebiegłem słabo oświetlony korytarz i zapukałem do drzwi, za którymi ukrywał się Arney po dokonaniu zbrojnego napadu na bank i zabiciu dwóch policjantów.

Gdy usłyszał mój głos, otworzył drzwi. W pokoju panował nieład, Arney siedział w fotelu z kieliszkiem w ręku. Na jego widok zadrżałem ze wzruszenia... Tak, to był Arney, lecz twarz nie była jego, nie mogłem się jeszcze przyzwyczaić do tej zmiany! Stałem się najzwyklejszym wśród tych, którzy praktykują chirurgię plastyczną w naszym mieście. Niestety, przed dwoma laty odebrano mi licencję lekarza. Dla Arneya wykonałem wspaniałą robotę, za pięć tysięcy dolarów. Nawet matka nie poznałaby go.

— Co słychać, doktorze? — pozdrowił mnie. — Przyszedł pan spojrzeć na swoje arcydzieło. — To mówiąc pochylił głowę i wskazał na twarz, jakby szukając blizn, które tam powinny się znajdować. Lecz nie znalazł żadnego znaku. Prace, które ja wykonuję na stole operacyjnym są absolutnie doskonałe.

Wyjąłem gazetę z kieszeni i rzuciłem mu na kolana. — Oto moja odpowiedź na pytanie.

Patrzył przez chwilę, lecz widziałem, że nie pojął, o co mi

chodził. — Proszę zostawić zagadki — mruknął, — nie mam czasu na zabawy.

A więc, wyjaśniłem wszystkim, mój pomysł spodobał mu się. Dlaczego by nie? Można spróbować... Nie znalazłem lepszego sposobu, żeby całkowicie zatrzeć ślady, które prowadziły do jego osoby.

— Okay — rzekł wreszcie. — Ile to będzie kosztowało, jeżeli się uda?

— Uda się na pewno — odpowiedziałem. — Należy mi się dziesięć tysięcy dolarów.

— Pięć tysięcy wystarczy — rzekł Arney.

— Dlaczego się pan targuje?... Ja biorę na siebie całe ryzyko, a pan tylko zysk.

— Skąd mogę wiedzieć, czy on się zgodzi, nawet jeżeli pan go znajdzie?

— Na pewno się zgodzi, będzie bardzo szczęśliwy. Dziesięć tysięcy, ani dolara mniej.

— Siedem i pół tysiąca, więcej nie mogę.

— Dobrze, sprzedane. Kiedy je otrzymam?

Arney przyglądał mi się bacznie. — Gdy wszystko zostanie wykonane.

— Co by pan powiedział na kilka setek zadatku, teraz?

— Później, gdy operacja się uda.

Wzruszyłem ramionami. — Trudno, niech tak będzie...

Po powrocie do gabinetu rozmyślałem nad czekającym mnie zadaniem. Przede wszystkim musiałem odnaleźć tego osobnika z gazety. Zużyłem na to trzy dni. Nie dziwnego, tkwiałem w tym środowisku od dwudziestu lat i znam wszystkie miejsca, w których mógł się ukryć przestępca uciekający przed platformami.

Znalazłem go skulonego na brudnym łóżku w hotelu najniższej kategorii, w dzielnicy portowej. Był przeraźliwie wystraszony, gdy wszedłem do jego pokoju, nawet nie pukając. Szybko zamknął za sobą drzwi, nim się jeszcze poruszył.

— Nie bój się, chłopcze, przybyłem, żeby ci pomóc.

— To nie ja zrobiłem — jęknął. — Zastawili na mnie pułapkę. Ordynarną pułapkę.

— Na pewno tak było — rzekłem przekonująco. — Ja o tym wiem i ty wiesz. Ale te zbiory nie chcą zrozumieć. I

dlatego przyszedłem ci pomóc.

Mówiłem długo i jednocześnie obserwowałem jego twarz. Czułem się podniecony na duchu, wszystko pójdzie lepiej, niż myślałem.

Początkowo okazał się podejrziwy, zresztą tak przypuszczałem. Usiadłem więc na brzegu łóżka i starałem się go przekonać, aż się uspokoił. Powiedziałem, że jestem lekarzem, specjalistą w chirurgii plastycznej i że z nową twarzą będzie mógł swobodnie opuścić miasto, pojechać do Detroit, lub gdzie indziej i zacząć nowe życie.

Zastanawiał się nad tym dość długo, wciąż wystraszony, lecz widziałem, iż powoli udawało mi się go przekonać, aż wreszcie pomysł nie wydawał mu się tak fantastyczny.

— Okay — rzekł w końcu. — Ale pan będzie chciał pieniądze za tę robotę, prawda?

— O, to nie jest najważniejsze! Zobaczymy, ile też masz przy sobie?

Poszperał w kieszeni. — Dwadzieścia dolarów — rzekł.

— Wystarczy.

Wziąłem pieniądze i zawiołem chłopaka do mego gabinetu. Jeszcze tego samego wieczoru zacząłem nad nim pracować.

Kazałem mu położyć się na stole operacyjnym, zmyłem jego twarz i ręce środkiem znieczulającym i zrobiłem miejscowe zastrzyki. Na pewno go bolało, lecz nie skarżył się, chłopak był dzielny!

Następnie wzięłem fotografię z szuflady i ustawiłem w miejscu, w którym nie mógł jej widzieć. Zabrałem się do moich narzędzi i przez trzy godziny byłem całkowicie pochłonięty pracą, tak dla mnie znaną od wielu lat.

Po upływie trzech godzin cofnąłem się o krok, aby podziwiać moje dzieło: wspaniałe! Czułem się artystą i jak wszyscy artyści doznawałem uczucia dumy. Prawdziwe arcydzieło! Pomyślałem także o czubkach palców, skąd ściągnąłem skórę, żeby zmienić odciski daktyloskopijne.

— Jak poszło, panie doktorze? — zapytał chłopiec krzywiąc się. Gdy poruszył ustami, świeżo-rany zabolął.

— Nie wolno mówić! Wszystko poszło dobrze.

Próbowałem uśmlechnąć się oczami. Złożyłem bandaż i pomogłem mu wyciągnąć się na tapczanie w rogu pokoju.

— Musisz jeszcze pomedytować dwa tygodnie. Możesz tu zostać, dopóki nie zagoją się wszystkie cięcia.

Czas posuwał się bardzo powoli, dla niego i dla mnie. Były to dwa tygodnie cierpienia, swędzenia skóry, pieca przez słomkę, spania ze związanymi rękoma. Nie mógł mówić, pa-

trzył ciągle na mnie przez szpary w bandażach. Nie spuszczał ze mnie swych oczu wielkich, okrągłych, wystraszonych. Po kilku dniach zaczęło mnie to denerwować...

Wreszcie mogłem zdjąć bandaż. Pracowałem zrecznie, z cierpliwością. Ukazała się nowa twarz, oglądałem ją z dumą. Była to rzecz doskonała, cudowna! I dlaczegoż by nie? By-

— Dobrze, już dobrze — uspokajałem go, — musisz teraz zapomnieć o wszystkim.

— O, tak! Odejdę stąd daleko, do innego miasta, rozpocznę nowe życie. Uratował mnie pan, doktorze, jestem panu wdzięczny, zawsze będę o panu pamiętał!

Dałem mu ubranie, białe i portfel. — Nie otwieraj go teraz, włożyłem tam trochę pie-

niędzy, będziesz ich potrzebował. Schował portfel do kieszeni. Na koniec wręczyłem mu pistolet automatyczny. — Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć — rzekłem podając broń. Spojrzał na mnie a potem wsunął pistolet do kieszeni.

— A teraz ułatwię ci wyjście z miasta. Idź do baru między Broadwayem a Trzecią Ulicą i poczekaj tam na mnie, przyjdę niedługo. Bądź spokojny, nikt cię już nie może poznać.

Podziękował jeszcze raz, gorąco — i poszedł. Zaczekałem półki nie udeśli odgłos jego kroków na schodach i wyszedłem także. Nie skierowałem się jednak do umówionego baru, lecz do restauracji oddalonej o kilka bloków od mojego domu. Zadzwońnię do policji.

— Proszę nie zadawać mi pytań, tylko słuchać — rzekłem. — Arney Vincent znajduje się w tej chwili w barze na rogu między Broadwayem a Trzecią Ulicą. Jest uzbrojony, uważajcie!

Wyszedłem z restauracji kierując się w stronę baru wskazanego policji. Po kilku minutach zobaczyłem czarne samochody. Wyskoczyli z nich policjanci i otoczyli wachlarzem budynek baru. Dobrze zorganizowane — pomyślałem.

Potem rozległy się strzały: najpierw jeden, następnie wiele razem. Niedługo usłyszałem syrenę pogotowia, które zatrzymało się przed barem.

Przespacerowałem się trochę i wróciłem do mego gabinetu. Czekałem do godziny, kiedy ukazywały się wieczorne gazety. Zszedłem na dół, kupiłem gazetę i wróciłem do domu. Szczegółowa wiadomość o zdarzeniu wraz z fotografią była opublikowana na pierwszej stronie: „Arney Vincent zabity... Tajemniczy telefon... Bar między Broadwayem a Trzecią Ulicą... Identyfikacja przy pomocy dokumentów znalezionych w portfelu zmarłego...”

Więcej nie czytałem, nie było potrzeby. Byłem bardzo zadowolony z mej pracy. Wszystko mi się udało, nie pozostało nic innego, jak iść po odbiór zasłużonego wynagrodzenia. Włożyłem gazetę do kieszeni i pojechałem do Arneya. Siedział wciąż w fotelu z kieliszkiem w ręku. Rzuciłem mu gazetę na kolana.

— Widziałem już — rzekł Arney. — Pięknie. Naprawdę piękna robota.

— Tak — odpowiedziałem, — wszystkie moje prace są dobrze zrobione.

Czekałem, lecz on przypatrywał mi się nie mówiąc.

— Zawarliśmy umowę — przypomniałem mu wreszcie.

— Zmienilem zamiar — oznajmił. — Płacę tylko za rzeczy, które mogą mi się przydać...

Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się. — Nie pozwolę się spławić tak łatwo — rzekłem. — Telefónowałem już dzisłaj... Mogę jeszcze raz zadzwonić do policji.

— Ależ na pewno — zgodził się — na pewno może pan to zrobić. — Uśmlechnął się szyderczo. — Mógłby pan... Gdyby istniał jakiś sposób udowodnienia tego, co pan chciałby powiedzieć.

Milczałem. Tak, jestem Michałem Aniołem w moim zawodzie... Ale cóż mógłbym powiedzieć?

A. S.



Fot. W. Parys



Lewym  
okiem

GDZIE PODZIEWAJĄ SIĘ CENTRALE?

Socjologia to bardzo ciekawa nauka, ale niechże się nikt nie pogniewa jeśli powiem, że przy czytaniu socjologicznych publikacji odnoszę często wrażenie, że oto mam przed sobą niezmiernie uczone i zawile sformułowanie tego, co było od początku i bez zawiłych badań oczywiste. Zresztą — to nawet duża satysfakcja stwierdzić nagle, że własne nasze odczucia, nasza prywatna, instynktowna a przynajmniej nie w pełni świadoma „percepcja” świata jego pojęcie i przyjęcie, potwierdza się jako wynik drobiazgowych, żmudnych dociekań specjalisty, potwierdza się formułą „naukową”, lepszą od potocznej, bo trudniejszą do zapamiętania.

Można powiedzieć „klik”, można też — „związek nieformalny”, choć będzie to chyba pojęcie szersze.

Mówiło się o bimbanii, o wszytkojedynictwie, tumi-wiszmie, abotomozmie („a bo to moje?”), mówiło się trochę innym językiem o płynności kadr, o tym, że wielu ludziom absolutnie wszystko jedno co i gdzie robią byleby dobrze zarobić i nie przemęczyć się, o agronomach liczących kupony Totka i pedagogach, obsługujących powielacze w banku; jeszcze inaczej — o braku ambicji i pasji zawodowych, a także — o braku prawdziwej, autentycznej więzi osobistej z własnym miejscem pracy. Socjolog nazwie to samo zjawisko „brakiem identyfikacji”.

Rzeczywiście — nikt nie chce być reprezentantem niczego poza swoją własną osobą. Nikt nie uznaje interesów zakładu, w którym pracuje, za swoje własne interesy w najszerszym tego słowa znaczeniu. Każdy urzędnik w każdym miejscu rozmawia z człowiekiem jak indywiduum, zablakane wśród obojętnej sobie dżungli nieznaną sprawą, a nie jak instytucja. Instytucji nie ma w ogóle, jest fikcja, jeżeli każdy z jej etatowych przeciwników pracowników stwierdza: ja to bym panu załatwił, ale kierownik... ale przepisy... ale dyrektor... Konduktor w tramwaju nie chce słuchać skarg o rozbitę szybę, o brudnej lawce, o gwoździu łaleczącym pasażerów, bo to nie on przygotowywał wagon do jazdy i nie on mył szybę. Pokojówka (przepraszam, teraz się mówi subtelniej: salowa, a przynajmniej pokojowa...) w sanatorium daje ciwiartkę ręcznika zamiast całego, bo „taki jej dala”, i reszta nie jest jej sprawą. Kierownik sklepu wymyśla razem z klientami na brak towaru, którego mu „nie przysłali”, i kiwa głową nad towarem nie nadającym się do użytku, że „taki mu przysłali” i że można przecież, nie kupować. Windziarz siedzi przed nieczynną windą zadowolony z przerwy i wyrzeka: jakie to

teraz te windy... Lekarz z ubolewaniem przyznaje, że spółdzielnia, w której ordynuje, że i nieterminowo wykonuje analizy, że godziny przyjęć są złe, że w poczekalni brak krzeseł. Ale to nie jego sprawa, on zapisuje nazwisko, puka w kolano i wypisuje receptę. „Nie wiem, czy pan to dostanie” — mówi jeszcze pacjentowi. To już nie jego rzecz.

Przykładów mrowie a mrowie. I wcale nie chcę zakończyć sztokholmskim, idealistycznym, metafizycznym apelem do każdego Polaka, żeby zlikwidował w sobie brzydkie cechy. Był taki głos w dyskusji o kołesiach i chochołach: „Każdy z nas to trochę koleś i chochoł. Poprawmy się, panowie!” Nie, z takiego gadania wyjdzie jeszcze większe gadanie: samokrytyczne sabaty, nie do zniesienia dla słuchaczy. Identyfikacja może i musi wynikać z warunków, w jakich człowiek staje przy warstwie pracy. Są na ten temat całe tomy w różnych językach. Naszą epokę nazywają w Ameryce epoką menadżerów. Menadżer jest w pełni zidentyfikowany. Trzeba by poczytać, jak to się robi. To są też ludzie, z takiej samej gliny, nie demonizujmy cech narodowych.

Wszystkie reklamy świata oparte są na zaimku w pierwszej osobie liczby mnogiej: „my”. Budujemy, dostarczamy, gwarantujemy. U nas inaczej: Centrala Jajczarsko-Papiernicza zawiadamia, przypomina, oferuje. A zaimki używane w rozmowach to wyłącznie „ja” i „oni”. Oni — czyli wszyscy oprócz mnie. Gdzie się podziewają centrale? Socjologowie, pomóżcie!

CWIĘK